



P R A C E
D R A M A T Y C Z E
J. S. JASIŃSKIEGO.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.





. Akt II. Scena VII.

J.P. Piasecki / *w roli Barona Malczewskiego w Kom. Paulina*

Jestem tu u niej u siebie w pokoju mojej żony

Tom XV. Prac. Drama: J. S. Jasieński

Egz. archiwalny IBL

P R A C E

D R A M A T Y C Z N E

TLUMACZONE I ORYGINALNE

J. S. JASIŃSKIEGO

A. D. T. W.

Tom XV.

W A R S Z A W A.

1839.

SPIS SZTUK

▼ TOMIE PIĘTNASTYM ZAWARTYCH

1. *Paulina, czyli błąd poprawiony*, komedja w 1 akcie : 1.
2. *Maż mimo wiedzy*, kom.-op. w 1 ak. . 95.
3. *Lokaj w zalotach*, kom.-op. w 1 ak. . 147.
4. *Kawiarnia*, komedjo-opera w 1 ak. . 207.



**INSTITUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN**

Biblioteka

ul. ... Nr 72

0 ... wa

Tel. 26-66-... 26-52-31 w. 42

PAULINA

CZYLI

BŁĄD POPRAWIONY.

K O M E D J A

W E D W Ó C H A K T A C H

z francuzkiego

T Ł U M A C Z O N A.



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

W W A R S Z A W I E

dnia 8 Wiześnia 1832 r.

O S O B Y.

- PANI BARNECK, JPi. *Ledóchowska.*
PAULINA, jej
 siostrzenica, JPa. *Teressa Palczewska.*
PAN DE MALZEN,
 baron, JP. *Piasecki.*
SALSBACH, adwokat, JP. *Kudlicz.*
FRITZ, służący pani
 Barneck, JP. *Damse.*
SIDLER, przyjaciel
 Malzena, JP. *Wejnert.*

(*Rzecz dzieje się w Wielkiem Księztwie
Badeńskiem*)

PAULINA.

A K T I.

(Scena przedstawia salon w domu pani Barneck, drzwi w głębi i po obu stronach, drzwi z lewej prowadzą do pokojów pani Barneck)

S C E N A I.

PANI BARNECK, SALSBACH.

PANI BARNECK.

Co widzę, pan Salsbach w Baden, sądziłam że jesteś daleko od nas.

S A L S B A C H.

Kochana pani Barneck, podwuletniej nieobecności dzisiaj wróciłem i dni kilka z wami zabawię. Zatrzymałem się tu czas niejaki, a by zdać sprawę z mojego poselstwa Księżciu

panującemu. Nie zastawszy Go, poczytałem sobie za powinność odwiedzić moich dawnych przyjaciół; albowiem, nieboszczykowi mężowi pani, winienem całe powodzenie w moim zawodzie... Wasz majątek przecież nie stracił na tém; bo lubo często stawałem w waszych sprawach...

PANI BARNECK.

Zawsze wygrywaliśmy.

S A L S B A C H.

Bardzo wierzę, z panią to łatwo... masz pieniądze i upór... wszystko co potrzeba do procesu.

PANI BARNECK.

Upór!

S A L S B A C H.

Albo, jeżeli pani tak chcesz, stałość charakteru, szlachetną, wspaniałą i niezwalczoną; kiedy pani poweźmiesz myśl jaką wołałabyś zniszczyć siebie, aniżeli ustąpić na chwilę. Nakoniec, najlepsza kobieta na świecie, która z równą wytrwałością stara się zobowiązywać sobie ludzi, jak szkodzić im gdy jej niesłuszność wyrządzą, i której majątek jest

zawsze otwarty dla przyjaźni. Wiem o tém cokolwiek, a nieszczęśliwi z okolicy jeszcze więcej odemnie.

PANI BARNECK.

Panie Salsbach...

S A L S B A C H.

Pewny jestem że pani cieszysz się zupełnem powodzeniem?

PANI BARNECK.

Nie przeczę, a pan, jakże jego układy?

S A L S B A C H.

Skutek najpomyślniejszy. Nasi sąsiedzi mieli otrzymać traktat handlowy bardzo niekorzystny dla naszych kopalni w Badenvill i winnic Nadreńskich, nie wiedziano jakim sposobem przeszkodzić temu, ale ponieważ w naszej dyplomacji osób nie brakowało tylko geniuszu, przeto nasz Książę raczył łaskawie pomysleć o mnie. Rzekł sam do siebie: Idzie tu tylko o zawikłanie całej sprawy, mam adwokata w Karlsruhe, pana Salsbach, tego się dołączę! I trafiaie przewidział, wszystko stało się zgodnie z jego życzeniem... przeto mam

nadzieję, że Księżę raczy nagrodzić moje usługi, i nim opuszczę Karlsruhe podam prośbę, staram się...Wiesz pani co zawsze było celem moich zabiegów, mojej ambicji, tytuł szlachestwa!

PANI BARNECK.

Tytuł szlachestwa!

S A L S B A C H.

Wiem dobrze o tem, że pani, której majątek miljonowy powstał z handlu, będąc pierwszą z mieszczanek, nie lubisz ani wielkich panów, ani szlachty...wszyscy żyjący przemysłem podobnie mówią, ale ja zupełnie co innego...Tytuł konsyljarza lub barona, wiele się przyczynia, klienci muszą podwójnie płacić, i ten jeden małeńki przydateczek de...de Salsbach położony pod obroną, wiesz pani co zrobi?

PANI BARNECK.

Przedłuży ją o dwie litery, i na tem koniec.

S A L S B A C H.

Otóż mamy i sprzeczkę; ale nie chcę jej rozpoczynać zwłaszcza w dzień powrotu; lepiej

racz mię pani przedstawić swojej ślicznej siostrzenicy, swojej przybrananej córce. Paulinka po trzech latach musiała wyładnić.

PANI BARNECK.

Dzięki niebu!

S A L S B A C H.

Pamiętam jak starannie odbierała wychowanie, zawsze pod jej okiem, będąc jedyną pani krewną, może się poszczycić, iż kiedyś piękny odziedziczy majątek. Prawdziwie jej los godzien zazdrości, być zarazem piękną i bogatą, to za wiele. Jeden pretendent wziąłby ją dla majątku, drugi dla powabów ciała, i to co ona posiada aby uszczęśliwić jednego, dla dwóchby wystarczyło; przeto jak pójdzie za mąż...

P. BARNECK. (*biorąc go za rękę, tonem uroczystym*)

Dziś ślub.

S A L S B A C H.

Czy być może?

P. BARNECK. (*jak wyżej*)

Za godzinę.

S A L S B A C H.

I pani nic mi o tem nie mówiłaś!.. a więc w sa-

mą porę przybywam. Pewny jestem, że wybór najstosowniejszy; mąż młody, przyjemny, dobrze ułożony.

PANI BARNECK.

Nie wiem, tak mówią.

S A L S B A C H.

Jakto! pani, która tak kochasz swoją siostrzenicę, która powinna byłaś być tak trudną w wyborze jej małżonka, nie znasz go?

P. B A R N E C K.

Widziałam go raz; ale nie mogłabym go sobie przypomnieć.

S A L S B A C H.

Jednakże kiedy bywał u panny Pauliny.

P. BARNECK. (*wpadając w gniew*)

On! bywać u mnie! gdyby się tylko wejść ośmielił do mojego domu...

S A L S B A C H.

Dla Boga! co to znaczy?

P. B A R N E C K.

Ah drogi panie Salsbach, co za szkoda że ciebie tu nie było! w podobnym wypadku twoje rady i doświadczenie byłyby mi nader użyteczne.

S A L S B A C H.

Mów pani, proszę.

P. B A R N E C K.

Cicho... służący... ani słowa przy nim.

SCENA II.

POPZREDZAJĄCY, FRITZ.

F R I T Z.

Pani!

S A L S B A C H.

Ah to Fritz, strzelec.

F R I T Z.

Sługa najniższy pana Salsbach...

S A L S B A C H.

Poznałeś mię!

F R I T Z.

Ja nie miałbym poznać? przecież pan mię ożenił, a co lepsza, i za co mu większą wdzięczność winienem, rozwiodłeś mię z moją najdroższą żoną. Takie rzeczy się nie zapominają.

S A L S B A C H.

Zdaje mi się żeś utył...

F R I T Z.

Wszakże od trzech lat nie mam żony, bo gdybym ją miał dotychczas, pewno już byłbym na tamtym świecie. Teraz święta spokojność, jednak przed chwilą zaszła mała odmia-

na. Pan przyszedł mąż panny Pauliny, do którego miałem zlecenie od pani, przyjął mię ze szpicrutą w ręku.

S A L S B A C H.

Co?

P. B A R N E C K.

Czy cię uderzył?

F R I T Z.

Nie zdaje mi się; ale już było blisko tego; ten pan de Malzen tak nią wywijał...

S A L S B A C H.

De Malzen! młody baron de Malzen, którego ojciec, był minister, miał się być najdawniejszym szlachcicem Niemieckim?

P. B A R N E C K.

On sam.

F R I T Z.

Poszedłem go uwiadomić z rozkazu pani, że obrzęd ślubny ma się odbyć o godzinie czwartej, i że stosownie do wyroku, ma przyjechać tu do zamku Ober-Fahren, dla odebrania błogosławieństwa.

S A L S B A C H.

Stosownie do wyroku?

F R I T Z.

Był bardzo smutny.

P. B A R N E C K.

Doprawdy?

F R I T Z.

Roskosz było patrzeć, jak przygryzał sobie usta, mówiąc: „Wiem o tém... odebrałem wyrok, ale twoja pani bardzo nagła.“ Oh! odpowiedziałem z uśmiechem, moja pani, bardzo mało o to dba, tyle co i pan, ale kiedy wyrok każe, trzeba być posłusznym prawu.

P. B A R N E C K.

Bardzo dobrze.

S A L S B A C H.

Ani słowa nie rozumiem.

F R I T Z.

To go dotknęło, postąpił ku mnie, jak sędzę, z zapłatą za to uwiadomienie; ale ponieważ pani poleciła mi surowo, abym nic nie przyjmował, przeto ja wykręciwszy się zrećcznie, wyszedłem.

P. B A R N E C K.

Bardzo dobrze, zobacz czy wszystko przygotowane w kaplicy, i każ urządzać stoły do wieczery.

(Fritz odchodzi środkowemi drzwiami)

SCENA III.

SALSBACH, PANI BARNECK.

S A L S B A C H.

Czy dobrze słyzałem! małżeństwo za wyrokiem sądu?

P. B A R N E C K.

Tak, w istocie. Wiesz dobrze panie Salsbach, że kiedy rozpocznę proces, prowadzę go wytrwale, choćby mi przyszło stracić milion, muszę otrzymać wynagrodzenie dla naszej familji.

S A L S B A C H.

Rozumiem. Ci młodzi panowie sądzą, że im wszystko dozwolone... i baronde Malzen zapewne starał się uwieść Paulinę...

P. B A R N E C K.

Uwieść ją! nie bynajmniej! biedne dziecię, nie ma sobie nic do wyrzucenia, i wczoraj mi jeszcze mówiła, pieszcząc małego Alfreda, swego syna...

S A L S B A C H.

Co słyżę! pani już jesteś cioteczną babką.

P. B A R N E C K.

Dziecięcia tak ładnego jak dzień pogodny.

S A L S B A C H.

Piękna nowina!

P. B A R N E C K.

Kocham je zapamiętałe, nie mogę żyć bez niego...jestem jego matką chrzestną.

S A L S B A C H.

Byłem tego pewny, pani tak dobra, tak po-
błażająca... przebaczyłaś niewątpliwie twojej
siostrzenicy.

P. B A R N E C K.

Przebaczyć jej! czyż Pauliny wina że ją u-
niesiono, porwano... ale, nie mówmy o tem,
gdyż natychmiast gniew mię ogarnia, i od trzech
lat, to tylko uczucie mię zajmuję. Byłabym
umarła ze zmartwienia, gdyby nie chęć otrzy-
mania sprawiedliwości, i skarcenia dumy tych
panów baronów, których cierpieć nie mogę.
Ta jedynie myśl mię utrzymywała. Natych-
miast udałam się do byłego ministra, do sta-
rego de Malzen.

S A L S B A C H.

Bardzo dobrze, tak należało postąpić.

P. B A R N E C K.

Czy uwierzysz, odpowiedział mi, w nieobe-
cności godnego synka, który znajdował się
we Włoszech: że jeżeli rzeczywiście młody

baron zapomniał się do tego stopnia z jedną mieszczanką, chętnie zapłaci szkody i pensję na utrzymanie dziecięcia.

SALSBACH (z gniewem)

Czyliż może wynagrodzić!..

P. BARNECK. (z żywością)

To co jest niewynagrodzonym. Odpowiedziałam: że rodzina Barneck, wzbogacona pracą i handlem, nic nie żąda od baronów Malzen, zniszczonych przez dumę i lenistwo.

S A L S B A C H.

No...

P. B A R N E C K.

Ze ja powinnam uważać ile tracę, wydając ją za męża za jednego z nich; i tylko honor mojej siostrzenicy, i znaczenie jej syna zmuszają mnie do tego kroku; albowiem chcę, żeby Alfred był baronem.. To kochane dziecko będzie nim, musi być baronem.

S a A L S B A C H.

Ale pani ich tak nie lubisz...

PANI BARNECK.

Ah w mojej familji! to co innego.

S A L S B A C H.

Cóż odpowiedział?

PANI BARNECK.

Ośmielił się kazać mi odejść.

S A L S B A C H.

Ha!

PANI BARNECK.

Zagroziłam mu procesem.

S A L S B A C H.

Należało zacząć od tego! Proces! A mnie tu nie było! Jakbym go był poprowadził!..

P. BARNECK. *(bierąc go za rękę)*

Ah mój przyjacielu!.. Wtwojej nieobecności rozpoczęłam proces, i w przeciągu roku, wygrałam w dwóch instancjach.

S A L S B A C H.

Bravo; a więc sprawiedliwość odniosła zwycięstwo.

PANI BARNECK.

Ale fatalnym wypadkiem, stary baron nam się wyniósł. Umarł w toku procesu. Znałam go dobrze, byłam przekonana, że nie długo pociągnie, i pewna jestem, że dla tego umarł umyślnie, aby nie być na weselu swojego syna.

S A L S B A C H.

A młody de Malzen?..

PANI BARNECK.

Powróciwszy nie dawno z podróży, dziś ma się stawić, aby dopełnić zapadłego wyroku.

S A L S B A C H.

Sądzę, że to nie z wielką chęcią wykona.

PANI BARNECK.

Oh nie uwierzysz co on nie czynił, aby nam się wysliznąć... doszło do tego, iż nam groził że się zastrzeli.

S A L S B A C H.

Doprawdy!

P. B A R N E C K.

Potwarze jakie tylko mógł wynaleźć!.. ale nie ma sposobu uniknienia wyroku i ślubu; gdyż dzięki niebu, jest skazany na ożenienie, i to pod przymusem osobistym.

S A L S B A C H.

Dobrze.

P. B A R N E C K.

Możesz się domysleć, że proces był sądzo-ny przy drzwiach zamkniętych, i że, mając wzgląd na moją siostrzenicę, taitam ile możliwości całą tę sprawę. Jedna tylko rzecz mię nie cieszy, obojętność Pauliny. Ona wgniewie nie znajduje takiej rokoszy jak my. Czy uwierzysz, że dziś rano nie chciała nawet ani słuchać o tém małżeństwie; i zważ, cobysię stało, gdyby z jej strony nastąpiło odmówie-

nie. Szczęściem że ty przybyłeś kochany Salsbach, zdaję się na ciebie, ty nakłonisz Paulinę, aby została baronową.

S A L S B A C H.

Bądź pani spokojną.

P. B A R N E C K.

Słyszę zajeżdżające powozy... Zapewne nasza młodzież; idę ubrać się nieco staranniej.

S A L S B A C H.

Jakto, guście?

P. B A R N E C K.

Pan de Malzen chcąc uniknąć upokorzenia, żądał, iżby ślub odbył się spokojnie i bez świadków. Ale ja nie mam dla niego najmniejszej litości, zapraszam tłum młodzieży. Jak go to będzie niecierpliwić, gdy mu zaczną składać powinszowania. A potem wyobrażam sobie jego gniew! kiedy będzie przymuszony ze mną bal rozpocząć...

S A L S B A C H.

Pani będziesz tańczyć z panem de Malzen?..

P. B A R N E C K.

Tylko dla tego, że z panem de Malzen; ah co za rozkosz! *(wchodzi do swojego pokoju)*

S A L S B A C H.

Głowę traci... Ale co do jej siostrzenicy,
muszę...

SCENA IV.

SALS BACH, SIDLER, MŁODZIEŻ.

S A L S B A C H.

Pani Barneck prawdę powiedziała, tyłu świadków, surowo będzie ukarany.

S I D L E R.

Mości panie, mamy zaszczyt... (*cicho do innych*) Iwarz szanowna, postać dosyć niezgrabna... coś na ojca zakrawa. (*głośno*) Dopelniamy życzliwego zaproszenia naszego przyjaciela de Malzen, który, jak się zdaje, nie musiał jeszcze przybyć.

SALS BACH. (*obojętnie*)

Tak jest, panowie go uprzedzili.

S I D L E R.

Nie dziwnego, jechaliśmy z takim pośpiechem, a upał niezmierny; ale jaki upał!.. (*cicho do kolegów*) nie rozumie! powinienby się przecię domyśleć, kazać nam dać czém się ochłodzić... a przynajmniej prosić siedzieć.— (*głośno do Salsbacha*) Czy pan jesteś krewnym panny młodej?

SALSBACH. (*obojętnie*)

Nie krewnym, ale przyjacielem domu.

S I D L E R.

Może tym któremu dano obowiązek przyjmowania?..

S A L S O B A C H.

Nie dano mi żadnego obowiązku.

S I D L E R.

Byłem tego pewny. Wyznać muszę że nie można z większą akuracją tego dopełniać.

SALSBACH. (*n. s.*)

Trefniś...ledwo oddycham z gniewu.

SIDLER. (*do swoich*)

Co mówicie, to dobrze było powiedziane? ale bo jak też można do tego stopnia nierozumieć ludzi *comme il faut*.

SALSBACH. (*n. s.*)

Wkrótce i ja nabędę prawa, które im urodzenie nadało; okazywania się niegrzecznym, a wtedy jeszcze ich przewyższę aby odzyskać czas stracony. (*oddala się cokolwiek w głąb*)

SIDLER. (*który przez ten czas zbliżył się do drzwi w głębi*)

Przyjaciele, spostrzegam pana młodego, wchodzi na dziedziniec.

W S Z Y S C Y.

Czy ubrany? podług ostatniej mody.

S I D L E R.

Przeciwnie w bótach z ostrogami...ubiór do konia...szczególniejszy ubiór ślubny! (*patrzac na na Salsbacha ze śmiechem*) Tu wszystko jest oryginalnem.

SALSBACH. (*n. s.*)

Jeszcze, do kroćset... idźmy do Pauliny, i każmy uwiadomic ciotkę o przybyciu jej szanownego siostrzeńca. (*wchodzi do pokoju pani Barneck*)

S C E N A V.

SIDLER, MALZEN. (*i inni otaczając Malzena*)

M A L Z E N.

Co widzę! jako, wy tutaj!..cóż was tu sprowadza?

S I D L E R.

I on takżę!..to bardzo grzecznie!..Widać że dziś jest dzień przyjęć bardzo uprzejmych... Niewdzięczny! chcemy być świadkami twojego szczęścia.

MALZEN. (*n. s.*)

Niech was kaci porwą! (*głośno*) Nie bardzo

wdzięczny, ale powiedzcie mi z łaski swojej
kto was uwiadomił?

SIDLER. (*pokazując mu list zaproszenia*)

Ty sam... pauz...cyrkularz zwyczajny.

MALZEN. (*biorąc bilet*)

Co? ja sam. (*czytając*) »Baron de Malzen
»prosi abyś mu uczynił ten zaszczyt. etc.«
Jeszcze jedna sprawka téj staréj saalonéj. Jest
to wojna na śmierć!

SIDLER.

Czy nie ty nas zaprosiłeś?

MALZEN.

Tego się strzegłem najwięcej...nie dla tego
abym się nie cieszył...ale w położeniu w ja-
kiém się znajduję.

SIDLER.

Byłem pewny że się tu coś święci, widać
że nie bardzo w wielkiej harmonji jesteś z ro-
dziną.

MALZEN.

Nie można być w gorszej.

SIDLER.

Rozumiem, młoda osoba...namiętność.

MALZEN.

Wcale nie, ona nie cierpieć nie może.

S I D L E R.

Bah! czy tak, a więc ty sam...

M A L Z E N.

Ja jej nie nawidzę.

S I D L E R.

Teraz jestem w domu, małżeństwo równości stanu.

M A L Z E N.

Niema żadnej.

S I D L E R.

I zaślubiasz ją?

M A L Z E N.

Może.

S I D L E R.

Czy tak? ah wiesz mój przyjacielu że chybabym był skazany na ożenie.

M A L Z E N.

Jestem nim w istocie.

W S Z Y S C Y.

Co mówisz?

S I D L E R.

Co u kata! nie rozumiem, wyjaśnij nam.

M A L Z E N.

Zdarzenie najnieprzyjemniejsze i najsmieszniejsze razem; bo gdyby się przytrafiło któremu z was, śmiałbym się z całego serca... bo wistocie nieszczęście nie czyni mię niesprawiedliwym. W rzeczy samej, początek był do-

syć przyjemnym; młoda dziewczyna, ładna, świeża, szesnaście lat najwięcej...niewinna jak wychowanka wioski, przynajmniej tak ją sądziłem, gdyż teraz pewny jestem, że miałem przed oczyma zalotnicę najzręczniejszą!. Było to na balu!.ale Sidler, ty także byłeś na nim; trzy lata temu...

S I D L E R.

U Prefekta!..przypominam sobie, mało m się nie udusił gdy ogień ogarnął salę...każdy biegł...

M A L Z E N.

Otóż to właśnie...Lękliwy o zdrowie mojej ładnej tancerki, porywam ją na ręce, i unoszę aż na koniec ogrodu, do opuszczonego pawilonu, gdzie zważywszy odległość, ogień żadnym sposobem dosięgnąć nie mógł...ale nie przewidziałem innego niebezpieczeństwa...moja piękność zemdląca gdym ją przenosił, trzeba ją było ratować, nie wiedziałem jak a obawiałem się opuścić...(uśmiechając się) Potem, mówiąc między nami, moje nieszczęście że w mdłości nie wierzę! Jednym słowem nie

wiem jak się stało ale nie wzywałem nikogo sam odczułem jak mogłem, i po upływnieniu trzech miesięcy, gdym zwiedzał Włochy, i zapomniał zupełnie o balu i mdłościach, dowiaduję się że mi utworzono proces najśmieszniejszy.

S I D L E R.

Zabawne zdarzenie! czemużeś nas nie uwiadomił o tém?

M A L Z E N.

Tak; pytaj lepiej czemu w gazetach nie kazałem umieścić. Zresztą, to się stało tak prędko. Zostać od razu mężem i ojcem, przez wyrok sądu...z zapłaceniem kosztów. Zagrażają mi synem o którego urodzeniu nawet nie wiedziałem, i jako ojca nie stającego, skazują wyrokiem zaocznym. Poradziwszy się rozsądku, nie tracąc ani chwili czasu przybywam, z obawy: aby moja nieobecność jeszcze jednym synem mię nie ukarała.

S I D L E R.

Więc to musi być familja wzięta, rodzina ze szlachy pochodząca?

M A L Z E N.

Ale gdzie tam! mieszczanie Bogu daszę winni, oto caleich znaczenie.

S I D L E R.

Trzeba było appellować.

M A L Z E N.

Nie zapomniałem o tém; i jeszcze raz przegrałem.

S I D L E R.

Okropnie!.. ale to mię nie dziwi... sprawiedliwość teraz jest tak miejska, dla każdego, bez względu na stan. Jednakże ja gdybym był na twojem miejscu...

M A L Z E N.

Cobyś uczynił?

S I D L E R.

Smiałbym się z wyroku... (*młodzieź chodzi po scenie, Malzen i Sidler sami się znajdują na przodzie*)

M A L Z E N.

Jeżeli go nie dopełnię, jestem pozbawiony mojego stopnia, honoru, mój zawód zamknięty dla mnie na zawsze.

S I D L E R.

Trzeba było udać się do Księcia, jest ci



życzliwym, i gdybyś mu przedstawił twoją prośbę...

M A L Z E N.

Tak właśnie uczyniłem, bezskutecznie. — Wczoraj jeszcze podałem drugą. Odpowiedzi nie otrzymuję, godzina się zbliża, i szanując pamięć ojca, dla mojej własnej godności pozostaje mi tylko jeden środek, którego powinienem był wcześniej probować... Cicho!.. *(spoglądając na drzwi z lewej)* Postrzegam kogoś...

S I D L E R.

Czy to nie narzeczona?

M A L Z E N.

Ah nie!.. zapewne ciotka.

S I D L E R.

Co za ubranie! niechże ją!..

M A L Z E N.

Jaka postać... prawdziwy obraz familji. Daje słowo, że nie pozwolono mieć takich ciotek; ale zostawcie mię, muszę z nią pomówić.

S I D L E R.

Zostaniemy ci do pomocy?

M A L Z E N.

Ale proszę was!.. już ja sam...

S I D L E R.

Nie będziesz śmiał powiedzieć jej...

M A L Z E N.

Zostawcie mię tylko samego z moją kochaną ciocią.

S I D L E R.

Jakto, was oboje! z kobietą tak zachwycającą; sam na sam, bardzo niebezpieczne. A gdyby znowu nagle zemdląła w twoich objęciach jak jej siostrzenica, lękaj się słabości...

M A L Z E N.

Jestem zupełnie spokojny, bo choćby nas ogień do koła otoczył, wołałbym spalić się, niżeli ją ratować. Proszę was, odejśćcie.

(odchodzą na prawo)

S C E N A VI.

MALZEN, PANI BARNECK.

PANI BARNECK a

W tej chwili doniesiono mi, że pan...

M A L Z E N.

Pani, widzisz przez sobą nieprzyjaciela, któremu los oręza nie posłużył, i który przybywa na zaproszenie, jakie miał zaszczyt odebrać z jej łaski.

PANI BARNECK. 7

Nieco późno, panie baronie... ale kiedy kto czyni to z tak wielką przyjemnością i chęcią... (n. s.) ledwo oddycha, oh jakże się cieszę!

M A L Z E N.

Jednakże powiedz mi pani, po co ci goście, ta okazałość? ułożyliśmy...

PANI BARNECK.

Przebacz pan, ale wiadomo że na wesele...

M A L Z E N.

Oh proszę nie dawać tego nazwiska; jest to utarczka, wojna.

PANI BARNECK.

A więc moje starania zasługują na podziękowanie, gdyż każda utarczka potrzebuje świadków. Wszystko już przygotowane, i jeżeli pan chcesz udać się ze mną...

M A L Z E N.

Pozwól pani... przedewszystkiem proszę o chwilę rozmowy.

PANI BARNECK.

* Ponieważ nie ja jestem narzeczoną, a zatem każe przywołać mojej siostrzenicy... (z przy-ciskiem) pani baronowej de Malzen.

M A L Z E N.

Baronowej! (obojętnie) Nie pani, nie z jej

siostrzenicą, z tobą samą chcę pomówić przez chwilę, jeżeli zechcesz mię posłuchać.

P. B A R N E C K.

Z chęcią mości panie, spokojnie, nie przerywając mu nawet, choćby mię to wiele kosztować miało. (*siadają*)

MALZEN. (*po krótkim milczeniu*)

To co się stało, mogło dać o mnie ciekawiej-korzystniejsze wyobrażenie; ale jestem pewny prawie, że skoro mię pani poznasz, osądzisz daleko lepiej. Wykroczyłem, przyznaję, i zbyt-tnie nawet zostałem ukarany... Upór twój pani stał się przyczyną śmierci mojego ojca.

P. B A R N E C K.

Jakto?..

M A L Z E N.

Tak jest, i tego właśnie nigdy nie przebaczę... Sądź teraz pani, czy mogę należeć do waszej rodziny, i czy ten związek nie jest niepodobnym?

PANI BARNECK.

Niepodobnym! jeżeli dla tego...

M A L Z E N.

Za pozwoleniem, przyrzekłaś mi pani nie przerywać; tak jest, związek niepodobny, on

3*

stałby się przyczyną nieszczęścia mojego, nieszczęścia jej siostrzenicy; a pani nie zechcesz ją karać, przymuszając poślubić człowieka, którego nie kocha, i który nawzajem nigdy jój kochać nie będzie.

PANI BARNECK.

Gdyby były inne sposoby...

M A L Z E N.

Jest jeden, winienem ci pani uczynić wyznanie, uczynię je, jakkolwiek przykrém może być dla mnie... Pani sądzisz mię bogatym, mylisz się, nie jestem nim wcale. Ojciec mój zostawił mi tylko imię i tytuły. Wszystko więc co uczynić mogę dla wynagrodzenia moich przewinień, jest: uznanie mojego syna, nadanie mu mojego nazwiska i tytułów, stanowiących teraz jedyne moje mienie. I żebyś pani była pewną, iż nikt w świecie nie będzie miał prawa czynienia mu o to zarzutów, przyrzekam że nigdy nie wejść w związek małżeński, i gotów jestem dać wszelkie zaręczenia, jakich tylko pani zażadasz. Wyrzekam się szczęścia, aby uszczęśliwić siostrzenicę pani. Tym sposobem błąd mój może być naprawiony, i przyszłość, na którą się skazu-

ję, dostatecznie wynagrodzi wykroczenia przeszłości. Otóż jest sposób wynagrodzenia, który ci podaję... przyjmujesz go pani?

P. BARNECK. (*wstając*).

Odrzucam.

MALZEN. (*wstając*)

Jakto?

P. B A R N E C K.

Mości baronie, rodzina Barneck jest bogata i bardzo bogata. Nie majątek ani tytuł barona może wynagrodzić jej honor, trzeba jej coś więcej.

M A L Z E N.

Tak, samego barona.

P. B A R N E C K.

Ślubu publicznego.

M A L Z E N.

Ślubu...zawsze tego przekłętogo ślubu.

P. B A R N E C K.

Który się dziś odbędzie...za godzinę.

M A L Z E N.

Ale ja pani powtarzam, że nie kocham wcale jej siostrzenicy!

P A N I B A R N E C K.

Kiedy się żenią zgodnym sposobem, mi-

łość jest koniecznie potrzebną, ale kiedy za wyrokiem sądu, można się obejść bez niej.

M A L Z E N.

A więc, poznaj pan! prawdę: ja jej niecierpię, nienawidzę.

P. B A R N E C K.

Z naszej strony to samo powiedzieć mu możemy od panny młodej; ale kiedy prawo przemawia, trzeba mu być posłusznym.

M A L Z E N.

Zobaczemy.

P. B A R N E C K.

Wyrok skazuje pana na ożenienie, i ożenisz się.

MALZEN. (z gniewem)

Prędzęj z panią.

PANI BARNECK.

Ha, gdyby był taki wyrok, musiałbyś go dopełnić.

M A L Z E N.

Nie wiem gdzie jestem, i odważę się na wszystko! A więc ponieważ jej okrucieństwo przyniewala mi, muszę zostać jej siostrzeńcem; ale uprzedzam cię pani że dziś jeszcze, skoro tylko ślub się odbędzie, wygotuję prośbę o rozwód.

PANI BARNECK.

Nasza już jest napisaną. Prawo w podobnym wypadku pozwala na rozwód po upływie 24 godzin; i my nie zaniedbamy korzystać z tego dobrodziejstwa prawa.

M A L Z E N.

I ja też samo. Zezwalam jak namiętniej.

PANI BARNECK.

To nasze najgorętsze życzenie.

M A L Z E N.

Zawczasu poddaję się wyrokowi. Ah to szczęście!

PANI BARNECK.

Szczęście? to dobrodziejstwo!

M A L Z E N.

Więc zgoda!

PANI BARNECK. (

Zgoda! zgoda!

MALZEN. (n. s.)

Ah co za kobieta! piekło ją chyba wydało.

PANI BARNECK. (n. s.)

O to mu dokuczylam, nie posiadam się z radości!

SCENA VII.

MALZEN, SIDLER, PANI BARNECK, MŁODZIEŻ.

S I D L E R.

No, jakiż skutek, czyście się już porozumieli?

M A L Z E N.

Doskonale, przedziwnie.

S I D L E R.

Koniecznienie myśli o ożenieniu?

M A L Z E N.

Bardziej jak kiedykolwiek.

S I D L E R.

Ha, cóż czynić mój drogi, trzeba się poddać losowi. Przychodzę właśnie z salonu, do którego narzeczona tylko co weszła; wiotcie, nie źle wygląda, i gdybyś nie był przymuszony, daję słowo byłoby czego powinszować.

M A L Z E N.

Mniejsza oto.

S I D L E R.

Ale przecież my w tém jesteśmy.

M A L Z E N.

Czyście od chcecie, Niebo mi świadkiem, że wam nie zabraniam nawet porwać moją żonę.

PANI BARNECK.

Co za niegodziwość!

M A L Z E N.

Ale nie radzę; bo pani uformowałaby wam proces o straty i szkody.

SIDLER. (*śmiejąc się*)

Nie może być...

M A L Z E N.

A ponieważ dziś zaraz będziemy rozłączeni, może na was uzyskać wyrok abyście po jutrze weszli w powtórne związki z jej siostrzenicą.

PANI BARNECK. (*zapominając się*)

Mości baronie!.. (*wstrzymuje się*) Ale nie rozgniewasz mnie tem postępowaniem. Jestem tak szczęśliwą! albowiem musisz się ożenić, tak musisz się ożenić!

S I D L E R.

Ah to kobieta najuporczywsza!

MALZEN. (*n. s.*)

Gdyby ona nie była moją ciotką, gdyby to był tylko mój wuj, jużbym go był dawno przez okno wyrzucił.

SCENA VIII.

MALZEN, SIDLER, FRURZ, PANI BARNECK.

F R I T Z.

Pani, w tej chwili posłaniec w liberji dworskiej przybiegł spiesznie od Księcia panującego.

MALZEN. (*do Sidlera*)

Co za nadzieja!

PANI BARNECK. (*zdziwiona*)

Od Księcia panującego.

F R I T Z.

Przyniósł dwa listy, jeden jest do pana Salsbach, który tutaj ma się znajdować...

PANI BARNECK.

Wiem o co idzie, oddam mu go.

F R I T Z.

Drugi adresowany do barona de Malzen.

M A L Z E N.

Dawaj prędko. No cóż, czy boisz się przybliżyć?

F R I T Z,

Bo widzę też samą szpicrutę co dzisiejszego rana, (*n. s.*) także, do ślubu ze szpicrutą, piękna nadzieja!

MALZEN. (*biorąc list z żywością*)

Dawajże! Bogu chwała, otóż list na który czekałem; zwyciężyłem nakoniec.

P. B A R N E C K.

Co słyszę!

MALZEN. (*żywo, z radością*)

Tak pani, prosiłem Księcia, zwracając pamięć Jego na usługi ojca mojego i moje, prosiłem Go aby odmówił swojego zezwolenia na to małżeństwo.

P. B A R N E C K.

Jako, pan odważyłeś się?

M A L Z E N.

Pani uzyskałaś na mnie wyrok; a ja odwołałem się do łaski.

PANI BARNECK.

Panujący wymierzy sprawiedliwość.

MALZEN. (*odpieczętował list, przeczytał go, z boleścią*)

O Nieba!

W S Z Y S C Y.

Cóż takiego?

MALZEN. (*czytając*)

»Mój kochany Malzen.

»Jest władza przewyższająca moc panującego-
ego, władza praw; one wyrzekły...powiniennem
»milczeć, i dać pierwszy moim poddanym przy-
»kład, uszanowania jakie się należy sprawiedli-
»wości.
»Wam przychylni.«

S I D L E R.

Co za nieszczęście!

PANI BARNECK.

O wspaniały! dobry Monarcha! Jutro, pójdę rzucić się do nóg Jego; bo dzisiaj przede wszystkim powinniśmy myśleć o małżeństwie, nieprawdaż panie de Malzen? godzina już się zbliża! Bądź spokojny panie baronie, zostawimy ci czas do przebrania się, bo zdaje mi się że ten ubiór...

M A L Z E N.

Ten ubiór, bardzo dobry, i nie w nim nie zmienię, zupełnie nie.

P. B A R N E C K.

Mniejsza oto... *n. s*) Jeszcze jedna niegrzeczność, ale mniejsza, w surducie tak dobrze można wściekać się ze złości jak w ubiorze balowym. (*głośno*) A otóż moja zem-

sta nadchodzi, panna młoda, a niedługo paui baronowa.

SCENA IX.

MALZEN, SIDLER, PANI BARNECK, PAULINA,
SALSBACH, GOŚCIE WESELNI. (*Wszyscy wy-
chodzą z pokoju pani Barneck*)

SALSBACH. (*do Pauliny*)

Ale dla czegoż ta bojaźń? nie co odwagi.

P. B A R N E C K.

Nie lękaj się moje dziecko.

SALSBACH. (*do pani Barneck*)

Z trudnością nakłoniłem ją; ale nakoniec
dzięki mojej wymowie...

PANI BARNECK.

Dziękuję. (*do Pauliny*) Ukryj łzy twoje,
cieszyłby się z tego.

SIDLER. (*z cicha do Malzena*)

A ja ci mówiłem że nie źle wygląda, szcze-
gólniej tak z oczkami spuszczoneymi.

MALZEN. (*uważając ją, z gniewem*)

Dajże mi pokój! prawdziwa postać obludy.

PANI BARNECK.

Jedźmy, oczekają na nas w kaplicy. (*cicho*)

do Salsbacha) Proszę cię, abys natychmiast po ślubie wygotował akt rozwodowy.

S A L S B A C H.

Bądź pani spokojną.

PANI BARNECK.

Ah, ledwie niezapomniałam; tylko co nadesłano ci list od Księcia Panującego.

S A L S B A C H.

Możeż to być! godność radcy.. szlachectwo!..

W S Z Y S C Y.

Jedźmy, jedźmy.

SIDLER. (*do Salsbacha*)

Panie...przyjacielu familji...Pan nie idzie?..

SALSBACH. (*trzymając list*)

Nie, zostaję.

M A L Z E N.

Wiem dobrze—kiedy kto nie skazany wyrokiem sądu...

PANI BARNECK.

Idźmy pani baronowo!..(*Malzen prosi Sidlera aby podał rękę Paulinie, postępek ten oburza panią Barneck, jednak przyjmuje podaną rękę pana Malzen. Wszyscy wychodzą głębia*)

SCENA X.

SALSBACH. (*sam*)

Pragnąłem żeby się czempredziej oddalili;

bo, w obec wszystkich nie mógłbym się cieszyć do woli. Serce mi bije myśląc że mam w ręku przywilej szlactwa. Jakby ich to zadziwiło, gdyby. • o tém wiedzieli ci modnisie, ten baron de Malzen ; a nadewszystko mój ojciec, bakałarz, gdyby na świat wrócił. Pieczęć już złamana, zapewne z przybocznego bióra. Nie, własnoręczne pismo Księcia Panującego, co za szczęście! czytajmy: »Mości
 »panie. Baron de Malzen wzywał mojej łaski przeciwko rodzinie Barneck, której wpar
 »jesteś poradcą i przyjacielem. Szanując wyrok sądu nie chciałem mieszać się w tę sprawę, prócz tego, podobają mi się związki rodzin zamożnych, z familjami Szlachetwami...
 »Ządam więc aby to małżeństwo, stawszy się koniecznem, dziś się odbyło.« *(przerywając)*
 Właśnie nasza myśl. Jego Książęca Mość będzie zadowolony, gdyż w tej chwili zapewne chcąc nie chcąc, małżonkowie otrzymują błogostawieństwo. *(czyta dalej)* „Ale wiem, „że w podobnem zdarzeniu, prawo pozwala

„czasem na rozwód, pan de Malzen gotów
 „jest szukać w nim obrony.“ *(przerywając)*
 Nie tylko on sam, ale i żona jego także.
(czytając dalej) „Było już dosyć zgorszenia
 „w tym całym wypadku, rozwód przydałby
 „jeszcze jedno zapobiedz, i dla tego zdaję się
 „na wpana.“ Na mnie! *(czytając)* „Jestem
 „tak przekonany, iż twoje rady i pojednaw-
 „cze starania, otrzymają skutek żądany, że aż
 „do ukończenia tego interesu, odłożyłem za-
 „dosyć uczynienie twojej prośbie.“ Oh Boże!
(czytając) „Z pierwszym dziecięciem które się
 „urodzi z małżeństwa dzisiaj zawartego, o-
 „trzymasz przywilej, na który zasługujesz pod
 „tylu względami.“ Cóżem przeczytał? J. K.
 Mość rozkazuje, abym ja pogodził ich i pro-
 ces umorzył. Wszakże to nie moja czynność;
 ale trzeba być posłusznym, tem bardziej że
 mój przywilej od tego zależy. Jednakże ja-
 kim sposobem rozbroić ciotkę, kobietę naju-
 porczywszą? i zbliżyć do siebie dwoje ludzi
 którzy się niecierpią... nienawidzą? „Dziecię!..
 Wszakże jnż jest jedno... *(odczytując list)*
 „które się urodzi z małżeństwa dzisiaj zawar-

„tego.“ Bardzo jasno: to, które poprzedziło nie liczy się.

SCENA XI.

SALSBACH, PAULINA, PANI BARNECK, MALZEN, SIDLER, FRITZ, WIEŚNIACY, STRZELCY, GOŚCIE WESEJNI.

(Malzen wprowadza Paulinę, pani Barneck rozłącza ich i staje między nimi)

S I D L E R.

Więc już i po ślubie!..

P. BARNECK. *(cicho do Salsbacha)*

Zwyciężyłam!

MALZEN. *(zmieszany)*

Dopełniłem wyroku. Twoja siostrzenica pani jest moją żoną.

SALSBACH. *(patrzac na niego)*

Biedny człowiek!

M A L Z E N.

Ale przyrzeczone dobrodziejstwo ożywia mię błogą nadzieją. Do rozwodu już akt gotowy!

SALSBACH. *(n. s.)*

Szczególny mąż, natychmiast po ślubie chce rozwodu, jabym się zatrzymał trochę... *(głośno)* Chwilę tylko moi państwo...

P. B A R N E C K.

Możemy podpisać.

M A L Z E N.

Dziś w wieczór.

P. B A R N E C K.

W tej chwili.

SALSBACH. (*stając między Malzencem i panią Barneck*)

Bynajmniej; prawo jest wyraźne: nakazuje aby przed rozwodem małżonkowie najmniej przez 24 godzin pozostali razem, i pod jednym dachem.

M A L Z E N.

To za wiele!

P. B A R N E C K.

Nie, nigdy!

S A L S B A C H.

Chciejź więc, aby małżeństwo było ważnem i nierozzerwanem!

MALZEN I PANI BARNECK.

Toby było jeszcze gorzej.

MALZEN. (*n. s.*)

Jeszcze tyle cierpień, mieszkać z tą, która się stała przyczyną mojego nieszczęścia.

SIDLER. (*n. s.*)

Na honor, gdybym był na jego miejscu,

nie gniewalbym się wcale. Zona na 24 godzin, szczęście prawdziwe!

MALZEN. (*z uniesieniem*)

Ponieważ do jutra czekać muszę, ponieważ prawo tak każe, poddaję się zupełnie.

SALSBACH. (*uśmiechając się*)

Najlepszy sposób

M A L Z E N.

Ale sprawiedliwość nakazując mi tu zostać, mimo chęci, nic więcej żądać nie może.

P. BARNECK. (*wskazując na lewo*)

Paulino, pójdźmy do naszych pokoi.

MALZEN: (*wskazując na prawo*)

Mój zapewne z tej strony będzie.

P. BARNECK. (*z żywością*)

Tak jest.

SALSBACH. (*n. s.*)

Jedno tu, drugie tam... proszę wynaleźć sposób, ażeby ich połączyć. Tracę głowę, i podobno tak jak oni spać się położę.

P. BARNECK. (*do Pauliny*)

Sądzi że nas tem obraża, ale ja jestem pewna, że się nie posiada z gniewu.

M A L Z E N.

Dobra noc, dobra noc, wkrótce się skończą moje cierpienia... dobra noc koledzy! (*odchodzi na prawo*)

S I D L E R.

Sliczne zaprosiny, piękne wesele!..liczyliśny na hulankę, a tu się kończy na dobrej nocy.

(*Pani Barneck odchodzi z Pauliną na lewo, reszta głębią się oddala, Salsbach zostawszy sam, spogląda na dwie strony w które rozeszli się nowożeńcy.*)

Już po moim przywileju...nie chcą być razem w jednym pokoju, o dziecięciu ani myśleć.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

A K T II.

(Scena przedstawia pokój Pauliny. W głębi alkowa. Dwoje drzwi bocznych, prawe prowadzą do pokoju pani Barneck, lewe są głównem wejściem. W głębi wielkie okno wychodzące na balkon. W pierwszej kulisie po prawej toaleta. Dwie świece zapalone.)

S C E N A I.

PAULINA (w rannym ubiorze, siedzi przy toalecie z głową na ręku opartą) SALSBACK. (otwierając drzwi na lewo)

S A L S B A C H.

Czy można wejść do nowo zamężnej? (Paulina nie słyszy go, wchodzi, i stając blisko niej, powtarza) Czy można wejść do nowozamężnej?

PAULINA. (wstaje)

Ah... pan Salsbach!

S A L S B A C H.

Przebacz mi pani, że tak śmiało wchodzę... ale nie widzieliśmy jej ani przy śniadaniu, ani przy obiedzie; a ja niecierpliwie pragnąłem

dowiedzieć się czegoś od pani Baronowej...
albowiem teraz jesteś pani już baronową, i
niech kochana ciotka mówi co chce, ten ty-
tuł bardzo przyjemny.

P A U L I N A.

Którego, spodziewam się już mi dawać nie
będą od dzisiejszego wieczora.

S A L S B A C H.

Dla czego?.. to jest nieutralne, niegasłe...
kiedy się było baronową choćby tylko na je-
den kwadrans, nie tego tytułu odjąć nie może.

P A U L I N A.

Mało mię to obchodzi, nie dbam wcale o to...
aby tylko rozwód mógł dziś jeszcze nastą-
pić.

SALSBACH. (*n. s.*)

Otóż mamy... jak ich tu nakłonić żeby się
zeszli ze sobą.

PAULINA. (*uwważając Salsbacha*)

Ale pan zdajesz się być zmieszonym, mie-
liżbyśmy się obawiać jakiej przeszkody?

S A L S B A C H.

Nie, nie pani. (*n. s.*) Dotychczas żadnej.—
(*głośno*) Zgadzać się oboje dobrowolnie, te-
go tylko trzeba do rozwodu. (*po chwili*) Pa-
ni go nie widziałas od wczoraj?

P A U L I N A,

Nie.

S A L S B A C H. (n. s.)

I ja toż samo... (*głośno*) Tylko co się z nim widziałem, jeżeli się nie mylę, on pragnie pomówić z panią.

P A U L I N A,

Ze mną!

S A L S B A C H.

Tak, zobowiązał mię... ażebym uzyskał dla niego *chwilę rozmowy*... (n. s.) Prędejjby się zastrzelił, niżby o tém pomyślał.

P A U L I N A,

Ah ta myśl przenika mię trwoga.

S A L S B A C H.

Ale dla czego, proszę? czyżliż mnie tu nie ma? Nigdy nie doradzałbym ci pani, ażebyś miała kochać swojego męża, niech mię Bóg uchowa, ale nie idzie za tém, żebyś go pani posłuchać nie miała... jeżeli nie dla siebie samej, przynajmniej dla innych... dla świata, dla honoru familji.

PAULINA. (*spokojnie i z postanowieniem*)

Panie Salsbach, nie posiadam twojego do-

świadczenia; znam bardzo mało ten świat, o którym mi mówisz, i który mię ukarał oddawna za błąd cudzy. Mówiono mi, że dla zadosyć-uczynienia mu, potrzeba małżeństwa, poprawy błędu, i chociaż z trudnością pozwoliłam przekonać się, aby ten, który nie posiada mojego szacunku, mógł powrócić mi honor, będąc sam onego pozbawiony, zostałam posłuszną. zezwoliłam na ten związek, pod warunkiem, że natychmiast zerwanym zostanie. I teraz sądzę, że moja godność, mój honor, każą mi głośno domagać się rozvodu. Ciotka raczyła mię wezwać do siebie, w celu obszerniejszego porozumienia się w tym względzie... Przebacz panie Salsbach, że cię zostawię samego. (*klania się i odchodzi*)

SCENA II.

SALSBACH. (*sam*)

I ona także, stara się okazać niezłomność charakteru!.. Ona, dawniej tak dobra, tak łagodna, tak cierpliwa!.. jak małżeństwo zmienia młodą osobę!.. Mąż na lewo, żona na prawo...

śliczny początek do mojego przywileju szlachectwa... jednakże ci ludzie, byli stworzeni jedno dla drugiego... taż sama dumą... tenże sam upór... i jestem pewny, żeby się serdecznie kochali, gdyby się nie nienawidzili!.. Ale.. może zawikłaniem sprawy... To mi się czasem udawało, i... cicho... oto i pan mąż... czy on czasem nie zmienił swego sposobu myślenia.

SCENA III.

SALSBACH, MALZEN. (*wprowadzony przez Fritza*)

MALZEN.

Właśnie pana szukałem.

SALSBACH. (*z uśmiechem*)

Cóż tam takiego?.. zapewne interes wielkiej wagi... albowiem wejść aż do pokoju nowozamężnej...

MALZEN.

Ale bo... proszę mi przebaczyć... gdybym był wiedział...

SALSBACH. (*uśmiechając się*)

Dla czegoż!.. pan przecie masz prawo wejść tutaj...

M A L Z E N.

Dwadzieścia cztery godzin już upłynęło, mamy tylko podpisać rozwód. Dla tego kończmy; kazałem osiodłać konia, wyjadę nim noc nadejdzie.

SALSBACH. (*n. s.*)

A cóż, nie mówiłem, co za szczególniejsza sympatja. (*patrzac na zegarek, głośno*) Daruj mi pan... jeszcze brakuje trzy kwadranse.

MALZEN. (*zniecierpliwiony*)

Ale panie!..

S A L S B A C H.

Nie dla tego mówię, sbyśmy dbali o to... ale trzeba przynajmniej czasu do przygotowania i napisania aktu.

MALZEN. (*pokazując papier*)

Akt już wygotowany, oto jest.

SALSBACH. (*n. s.*)

Masz tobie! (*głośno*) Już! bardzo dobrze... bardzo pięknie! (*dzwoni*)

M A L Z E N.

Co pan czynisz?.. nie czytasz?

S A L S B A C H.

Moim obowiązkiem oddać ten akt natychmiast pani Barneck, ciotce pani Baronowej... (*Fritz*)

wchodzi) Zanieś to twojej pani. (*Fritz wzięwszy papier, idzie do pani Barneck*) A teraz kiedy wszystko skończone, panie baronie, nie widzę przyczyny dla czego odmawiasz widzenia się z panią de Malzen, o które cię prosić kazała?

M A L Z E N.

Z panią de Malzen?

S A L S B A C H.

Tak jest... przed odjazdem, żona pańska chce z nim pomówić... doniesiono mu zapewne?..

M A L Z E N.

Nie wiem o niczem.

S A L S B A C H.

A więc ja pana uwiadamiam... (*n. s.*) Nie ma żadnego niebezpieczeństwa... gorzej jak jest, stać się nie może.

M A L Z E N.

Mówić ze mną!.. i o czemże?

S A L S B A C H.

Ha.. zapewne o interesach wspólnych.

MALZEN. (*z żywością*)

Nigdy ich mieć nie będziemy.

S A L S B A C H.

Może względem syna... bo o tem pan pewnie

nie zapomniałeś, że już ojcem jesteś. (*z tkliwością*) Być ojcem dziecięcia!.. czujeszże młodzińcze, ile to nazwisko zawiera w sobie świętości... jak jest tkliwem... i jakie wkłada obowiązki!..

M A L Z E N.

Uwalniam pana...

S A L S B A C H.

I jaką roskosz przyrzeka ci w starości... zwłaszcza gdybyś miał kilkoro dzieci... a nareszcie dwoje... Niebo błogosławi liczne rodziny.

MALZEN. (*zniecierpliwiony*)

Dosyć tego... zabezpieczyłem los mojego syna, ile było w mojej mocy... a więc ta rozmowa byłaby bezużyteczną.

SALSCACH. (*z żywością*)

Przebacz mi panie baronie... ona jest nieodbycie potrzebną.

M A L Z E N.

Panie...

S A L S B A C H.

A pan zbyt grzecznym jesteś...

MALZEN. (*z gniewem*)

Eh!.. do kroćset.

S A L S B A C H.

Otóż właśnie i pani baronowa.

MALZEN. (*wstrzymując się*)
Nieba!

SCENA IV.

PAULINA, SALSBACK, MALZEN.

PAULINA. (*sposstrzegając barona*)
Co widzę!

SALSBACK. (*n. s.*)

Niebo ją przysyła.

MALZEN. (*n. s.*)

Zdradzono mię! to było ułożone.

PAULINA. (*do Salsbach tonem wyrzutu*)

Ah panie Salsbach!

SALSBACK. (*do Pauliny*)

Nie moja wina pani baronowo, chciałem go odalić...ale tak nalegał...Lepiej go pani wysłuchaj.

PAULINA. (*j. w.*)

Ah Boże...a wieszże pan czego on żąda.

SALSBACK. (*cicho*)

Nie, nie nie wiem...(*n. s.*) będzie sam w wielkim kłopotcie...(*idąc do Malzena który jest z przeciwnéj strony*) Nie widzę potrzeby pro-

sić cię panie o umiarkowanie, spokojność...
(*cicho do Pauliny*) Odważnie pani...(do Mal-
zenu) Zostawiam was...(n. s. ocierając czoło)
Boże! tyle trudów sobie zadawać! i jeszcze dla
cudzych dzieci! Może się nareszcie porozu-
mieją. (*cichaczem wysuwa się do pokojów pa-
ni Barneck*)

SCENA V.

MALZEN, PAULINA.

MALZEN. (*d. s.*)

Czego ona może chcieć odemnie?

PAULINA. (*d. s.*)

Cóż mi ma powiedzieć?

MALZEN. (*d. s.*)

Cóżkolwiek bądź...trzeba słuchać.

PAULINA. (*d. s.*)

Ponieważ chcą tego...słuchajmy... (*chwila
milczenia*)

MALZEN. (*d. s.*)

Nie wie jak zacząć.

PAULINA. (*d. s.*)

Jak się namysła!

MALZEN. (*d. s.*)

Trzeba się okazać wspaniałym...i dopomóż
ją. (*głośno*) Pani żądałaś mówić ze mną?

PAULINA. (*zdziwiona*)

Ja? pan raczej...

M A L Z E N.

Ja! nie myślałem o tém.

PAULINA. (*obrażona*)

Ah! tego tylko ostatniego postępku niedo-
stawało.

M A L Z E N.

Co pani przez to rozumiesz?

PAULINA. (*przymuszając się*)

Nie panie...przywyczaiłam się już do tego.
Nie czynię mu żadnego wyrzutu. Wszystko
czego doznałam od trzech lat, wszystko co
ucierpiałam, z jego przyczyny, nie daję mi naj-
mniejszego prawa do przywiązania panaba-
rona, wiem o tém; ale może do względów
jego prawo mi nadaje.

M A L Z E N.

Pani.

P A U L I N A.

Znam nienawiść pana ku mnie, to mię tyl-

ko zapewniało, że wiem iż płeć nasza zawsze szanowaną była. Nie mówię abym więcej od innych na to zasługiwała, ale mniemałam, że każda kobieta...choćby nawet żona twoja panie de Malzen, względów spodziewać się powinna od ciebie.

MALZEN. (*zmieszany*)

Przysięgam ci pani, że nigdy nie miałem myśli przykrzejszém czynić nasze położenie. Jest ono już dosyć dotkliwém; sądziłem, powiedziano mi...zwiedziono mię, widzę to.. i jeżeli cokolwiekbądź z mowy mojej mogło cię pani obrazić, zasługuję na przebaczenie. (*z wzruszeniem*) Jestem tak nieszczęśliwy!

PAULINA. (*spuszczając oczy*)

Przynajmniej, nie przezemnie. Gdyby słuchano prośb moich, wierz mi pan że nie byłoby tego nieszczęśliwego procesu! głośnie i uderzające wypadki nie przystoją kobiecie, chociażby za nią i słuszność przemawiała!..; to co zyskać może, nigdy stracie nie wyrównywa...Ale nie byłam panią tego, wszystko-

co mogłam dla niego uczynić jest to, aby los jego nie zawiązywać na długo...i mojemu staraniu winienes, że wkrótce będziesz wolnym.

MALZEN. (*zdziwiony*)

Pani i ja także winienem usprawiedliwić się z mojego sposobu postępowania.

PAULINA

To niepotrzebne! obyś tak o niem mógł zapomnieć jak ja...ja wszystko zapominam.

MALZEN. (*zawstydzony, n. s. zgniewem*)

Do stu piorunów, wolalbym ciotkę z całym gniewem, jak tę postać uległości, która mi bardziej jeszcze daje uczuć moją przewinę... (*głośno*) Pozwól mi pani tylko wytłumaczyć się...

PAULINA. (*z wzruszeniem*)

Oh nie, nie;..bez wyjaśnień, zaklinam, błagam...proszę tylko chciej mieć litość nademną, staraj się ukrócić to sam na sam...a jeżeli to prawda, jak mię zapewniono, że masz jakąś prośbę.

MALZEN.

Tak, tak pani...nim się oddalę, czy będzie mi wolno widzieć mojego syna?

P A U L I N A.

Natyehmiast każę...zobaczysz go. (*chce odejść*)

MALZEN. (*zatrzymując ją*)

Jeszcze słowo...nie wiem...jak wyrazić...pani... czuję że jestem bardziej występny jak sądziłem... żałuję teraz że posłał pani Parneck nie przedstawivszy wprzód tobie, pani, ten akt który ma ustalić...

P A U L I N A.

Byłam właśnie z moją ciotką, gdy go przyniesiono...Czytałam go.

MALZEN. (*z żywością*)

Czytałaś pani...ah błagam o przebaczenie za kilka wyrażen!..uczyniłem to w pierwszej chwili..zapewne obraziłaś się pani.

P A U L I N A.

Nie, wcale...ale znalazłam w nim rzeczy mniej stosowne, które ośmieliłam się odmienić.

M A L Z E N.

Na wszystko zezwalam nie widząc, i co uczynione naprzód potwierdzam. Oh pani,

przyznaję niesprawiedliwy w mojem odrzuceniu, od chwili kiedy nieszczęsny związek miał połączyć nasze przeznaczenia, wszystkie błędy są na mojej stronie.

P A U L I N A,

A wszystkie cierpienia na moją się przechylily... i ja szczęśliwszą z mojego udziału.

M A L Z E N.

Ah, gdyby odemnie zależało...

PAULINA. (*przerywając*)

Spostrzegam przyjaciela pana barona..

S C E N A VI.

PAULINA, MALZEN, SIDLER. (*wchodzi zlewój*)

SIDLER. (*nie widząc Pauliny*)

Wygrana! kochany Malzen... oto akt dobroczynny.

MALZEN. (*cicho i ściskając go za rękę*)

Będieszże ty milczał!

SIDLER. (*nostrzegając Paulinę*)

Oh! proszę mi przebaczyć... Chciałem powiedzieć... akt bolesny, który osądzono, nieodhicie potrzebnym...

PAULINA.

Zostawiam panów. (*chce wyjść*)

SIDLER. (*zatrzymując ją*)

Dla czegoż?... ponieważ państwo jesteście razem... można podpisać...

MALZEN. (*biorąc akt z rąk Sidlera*)

Tak jest; ale muszę wprzód wykreślić kilka wyrazów... Co widzę!.. pani ręką napisane?

PAULINA. (*zmieszana*)

Tak jest.

MALZEN. (*zaczął czytać akt*)

O nieba!.. chociaż rozłączeni, żądasz pani aby wspólność majątków nie ustawała!

SIDLER.

Czy podobna?

PAULINA. (*dając mu znak, aby czytał dalej*)

Czytaj pan; przekonasz się, że nie zasługuję na żadne podziękowanie; dla pana nic nie uczyniłam.

MALZEN. (*czytając*)

• Ten zapis, który mam nadzieję ciotka moja potwierdzi, czynię nie dla człowieka, którego nie kocham... ani nawet szacuję, ale dla

»mojego syna! Nie chcę, ażeby ten, którego
»nosi imię, znajdował się kiedykolwiek-bądź
»w położeniu mniej godnem jego znaczenia
»i rodziny. Nie chcę, aby mój syn mógł kie-
»dyś mi zarzucać, że pozwoliłam ojcu jego do-
»znać co jest potrzeba i nieszczęście.«

S I D L E R.

Ha, to jest wspominalomyslność w całym zna-
czeniu tego wyrazu...

M A L Z E N.

Powiedz raczej zniewaga!.. nie, ja go nie
przyjmuję... nie przyjmę nigdy; pani, jakkol-
wiek wielka moja wina, nie zasługuję prze-
cież na ten domiar upokorzenia... i błagam
cię, racz mię wysłuchać.

SCENA VII.

PAULINA, PANI BARNECK, MALZEN, SALSBACH,
SIDLER.

PANI BARNECK. (*dosłyszawszy ostatnie słowa*
Zapóźno panie baronie... 24 godzin już u-
płynęło.

M A L Z E N.

Jakto?

P. B A R N E C K.

Dzięki niebu, moja siostrzenica jest wolną,
i pan możesz się oddalić.

M A L Z E N.

Jeszcze nie, pani dobrodżiko.

PANI BARNECK.

Czegóż brakuje? wszystko zgodnie ułożo-
ne, zakończone; prośba o rozwód napisana!..

MALZEN. (z żywością)

Tak jest, ale jej siostrzenica jeszcze nie
podpisała. (wskazuje akt)

PANI BARNECK. (biorąc papier z rąk pana
Malzen)

Dzieło jednéj chwili. Paulino. (daje jéj
pióro)

S I D L E R.

Ale, pani...

S A L S B A C H.

Za pozwoleniem...

MALZEN. (do Pauliny)

Pani, zaklinam cię, na Imię Boga... nie pod-
pisuj nim mię wystuchasz... mogę się uspra-
wiedliwić... (Paulina podpisuje)

S A L S B A C H.

Podpisała!

MALZEN. (z bolecią)

Ah!..

PANI BARNECK. (podając pióro panu Malzen)

Teraz na ciebie kolej panie baronie.

MALZEN. (bierze pióro, idzie do stotu, po chwili namysłu rzuca pióro)

Nie pani!

PANI BARNECK.

Jakto?

M A L Z E N.

Ja nie podpiszę.

S I D L E R.

Co mówisz?

SALSBACH. (n. s.)

Przedziwnie!

M A L Z E N.

Nie, nie podpiszę aktu, który mię hańbą okrywa. Dosyć jest przeczytać warunek, który dodała siostrzenica pani...

PANI BARNECK.

Nie wiem jaki jest, ale go naprzód potwierdzam... Żądanie baronowej Malzen, musi być sprawiedliwem, zaszczytnem... dla tego, kończmy, podpisz pan natychmiast...

6*

MALZEN. (z mocą):

Nie, powiadam; tysiąc razy nie!

PANI BARNECK.

Potrąfiemy cię przymusić do, tego..

M A L Z E N.

Zobaczemy..

PANI BARNECK..

Trybunał zawyrokuje.

M A L Z E N.

Chcesz pani tego? Dobrze, zgadzam się..

PANI BARNECK.

Będziemy się prawować:..

S A L S B A C H.

Nie można inaczej uczynić. (n. s.) Ah jak-
żem szczęśliwy! (głośno) Doskonały proces!
(n. s.) nie tak prędko się skończy... to może i
mój przywilej wraz z dziećciem.

PAULINA. (drżąca)

Droga ciotko, błagam cię...

PANI BARNECK. (w gniewie)

Szczególniejszy sposób myślenia! potrzeba
było wyroku żeby wziął ślub.,. teraz znowu:
potrzeba wyroku aby go skłonić do rozwo-
du! Będziemy go miały mości panie, będziemy
miały, i zaraz jutro podaję prośbę... Panie:
Salsbach,...

SALSBACH. (*zblizajac się do pani Barneck*)

Jestem gotów na rozkazy pani dobrodziejki.. ale czyby nie znalazł się jakiś środek, ażeby w dobry sposób zakończyć...

P. B A R N E C K.

Nie, nie, ja się chce prawować ; a tymczasem, spodziewam się że panoczekując wyroku zechcesz nasz dom opuścić...Już noc, koń czeka oddawna.

M A L Z E N.

I jeszcze czekać będzie...nie odjadę aż z moją żoną pomówię.

PANI BARNECK.

Z żoną pana!

S A L S B A C H.

Żona tymczasowa, prawda; albowiem zobaczemy...

M A L Z E N.

Dopóki proces trwać będzie, nie możecie mi zabronić być jej mężem; i mam prawo do tego...

PANI BARNECK..

Zadnego..

M A L Z E N.

Będę z nią mówił.

P. B A R N E C K.

Mimo mojej woli!

M A L Z E N.

Mimo woli wszystkich, całego świata. (*bierze krzesło i siada*) Jestem tu u niej...u siebie w pokoju mojej żony... i żadna moc ztąd mię nie oddali!

P. BARNECK. (*zbliżając się do Pauliny, która czuje się być słabą*)

Cóż ci to Paulino?..O Nieba! biedne dziecię, siły ją opuszczają.

MALZEN. (*biegnąc do niej*)

Ah jakżem nieszczęśliwy!

P. B A R N E C K.

Wychodź pan, rozkazuję. Czyliż, chcesz aby umarła w twoich oczach. Wychodź! Pannie baronie!

SALSBACH. (*do Malzena*)

Wydź, lepiej dobrowolnie, ja idę z tobą.

S I D L E R.

Przyjacielu, kiedy koniecznie każą...

M A L Z E N.

Ponieważ tego potrzeba, jestem posłusznym, odchodzę. Ale przysięgam że tu powrócę. (*Sidler, Salsbach wyprowadzają pana de Malzen*)

SCENA VIII.

PAULINA, PANI BARNECK.

PANI BARNECK.

„Przysięgam że tu powrócę!“ Niech się ośmieli!

P A U L I N A.

Jako, moja ciotko, sądzisz...

PANI BARNECK.

Rozumiem, wydam natychmiast rozkazy aby jak najbaczniej pilnowano tej nocy.

P A U L I N A.

Ah co za wypadek!..

P. B A R N E C K.

Biedna Paulino!..cóż, wszakżem dobrze się okazała. Tym więcej chluby dla mnie, że nie wiedziałam o co rzeoz idzie, ani o przyczynie jego oporu.

P A U L I N A.

Wyjaśnię ci rzecz całą...przyznać jednak muszę że godnie postąpił.

PANI BARNECK.

Hm!..to nie to...ja myślę co innego..

P A U L I N A.

Cóż więc moja ciotko?

PANI BARNECK.

Myśl...któraby uzupełniła naszą zemstę. Gdyby on cię rzeczywiście pokochał?

PAULINA. (*przeleżała*)

On!

P. B A R N E C K.

Oddałabym wszystko żeby to było prawdą; co za rozkosz pogrążyć go w rozpacz!

P A U L I N A.

Ja tego nie pragnę.

P. B A R N E C K.

Zle czywisz...Ah! gdyby on we mnie zakochał się!...Zegnam cię moje dziecię; bądź spokojną...ja zajmę się procesem, rozwodem; pamiętaj tylko na to, że odjechał zasmucony, cierpiący. Ah jak słodkiem jest sprawiedliwe ukaranie i jak dobrze spać będę tej nocy!
(*ściska Paulinę i odchodzi do swego pokoju*)

SCENA IX.

PAULINA. (*sama*)

Wistocie, nie pojmuję przewidzeń mojej ciotki; to co mi powiedziała przed chwilą;..to wzruszenie...rzecz szczególna, ja także uważałam...lecz gdyby to było prawdą, miałaby jeszcze jedną więcej przyczynę do przyspieszenia rozwodu. Tak, obojętność dla nie-

go jest w tej chwili jedyną zemstą w mojej mocy. (*słychać lekkie pukanie na lewo*) Któs puka do drzwi...któż to być może, o północy prawie? (*mocniejsze pukanie*) Nie podobna nie odpowiedzieć. Kto tam?

SALSBACH. (*za sceną*)

To ja pani baronowo.

PAULINA.

Głos pana Salsbach!..czego chce?

SALSBACH. (*głosem cichym*)

Jeżeli pani jeszcze nie spisz, mam jej coś powiedzieć, rzecz bardzo pilna.

PAULINA. (*idąc otworzyć*)

Ah mój Boże! obudzi ciotkę...Bądźże cicho panie Salsbach. (*otwiera drzwi*)

SCENA X.

SALSBACH, PAULINA.

" SALSBACH.

Przebacz mi pani...obawiałem się czyli czasem nie udałaś się już na spoczynek.

PAULINA,

Cóż takiego?

SALSBACH. (*oglądając się po pokoju*)
Pani Barneck już poszła do swoich pokoi-
jów, tém lepiej!..

P A U L I N A.

Ale na cóż te ostrożności? cóż mi pan masz
powiedzieć?

S A L S B A C H.

Rzecz bardzo ważna...pan de Malzen...

P A U L I N A.

Cóż?

S A L S B A C H.

Wiadomo pani zapewne że go odprowa-
dziłem aż za wielką bramę którą za nim zam-
knięto.

P A U L I N A.

Dzięki Niebu! już więc pojechał!

S A L S B A C H.

Jeszcze nie!

P A U L I N A.

Co słyszę?

S A L S B A C H.

Tylko com go napotkał w ogrodzie zape-
wne przez mur się dostał. Przysiągł że się nie
oddali...ja mu mówiłem...on odpowiadał...
Jestem adwokatem, ale on rozkochanym...krzy-

czał bardziej jak ja...a obawiając się żeby nas nie usłyszano, zawarłem z nim ugodę. Przyrzekł oddać się, pod warunkiem jeżeli ci panu oddam list od niego, który miał napisać.

P A U L I N A.

Trzeba było odmówić przyjęcia.

S A L S B A C H.

Wolałabyś więc pani ażeby noc przepędził w ogrodzie...pod jej oknami?...gdyż w tej chwili tam się znajduje.

P A U L I N A.

Pau de Malzen!

S A L S B A C H.

I mógłby który z strzelców, wzięwszy go za złoczyńcę, strzelić do niego.

P A U L I N A.

O Nieba! lepiej więc było wziąć list.

S A L S B A C H.

Tak właśnie uczyniłem, był to postępek najroztropniejszy. Napisał więc ołówkiem bilecik na czterech stronnicach ten mam zaszczyt wręczyć...

PAULINA. (*biorąc go*)

Dobrze.

SALSBACH. (*umażając ją*)

Przyjęła, dobrze idą interesa. (*Paulina nie czytając listu, rozdziera i rzuca na ziemię*)
O Nieba! podarła nie przeczytawszy. Oh! złe idą interesa!

PAULINA.

Cóż to panu?

SALSBACH.

Mnie...nie. (*n. s.*) Niestety! zdaje mi się że w tym bilecie podarła mój przywilej szlachectwa! Jako pani!..więc tak sobie postąpiła?..

PAULINA.

Tak mi nakazała powinność.

SALSBACH.

Ale jednakże, pani.

PAULINA. (*obojętnie*)

Ani słowa więcej. A teraz niech się natychmiast oddali!

SALSBACH.

Pójdę mu powiem żeby sobie poszedł. Oby tylko mógł ujść, bez przypadku. (*poruszenie Pauliny. Salsbach zatrzymuje się*) Czy pani, ma jaki rozkaz?

PAULINA.

Nie.

S A L S B A C H.

Dobra noc, dobranoć pani baronowo.

P A U L I N A.

Dobra noc panie Salsbach.

SALSBACH. (*pół głosem*)

Oby tylko mógł ujsć bez przypadku! (*wychodzi*)

SCENA XI.

PAULINA. (*sama, zamyka drzwi i zasuwawę rygiel*)

Zamknijmy drzwi...Drzę cała!..Taka śmiałość przejmuje mię trwogą. A ten pan de Malzea!..cóż mu jest?...kaprys...duch sprzeciwienia... Dzięki Niebu, wszystko skończone...i jużesmy się go pozbyli. Najważniejszarzecz teraz aby moja ciotka nie dowiedziała się o tym ostatnim nierozsądnym postępku. A ten list... mogliby go znaleźć... (*podnosi podarty list*) Cztery stronnice!..Pan Salsbach prawdę powiedział. Jakto więc aż cztery stronnice napisał...ciekawam co mógł pisać do mnie?...do mnie która!...(czyta) » Paulino!« No proszę, Paulino! nazwać mię po prostu Pauliną!

(*czytając z wzruszeniem*) »Paulino, powinnaś
 »mnie nienawidzić, a ja nie mogę ci wyrażać
 »do jakiego stopnia sam sobą się brzydzę! Nie
 »poznać tylu wdzięków, tylu cnot!.. Czyliż ży-
 »ciem mojem mógłbym zagładzić popełnioną
 »niesprawiedliwość! Widziałem naszego syna,
 »z jakimże wzruszeniem, z jaką rozkoszą po-
 »znałem w jego dziecinnych rysach, rysy wy-
 »stępnego ojca...(*przerywając*) Prawda, bar-
 »dzo do niego podobny. (*czyta*) »Nie mogę
 »ci opisać czego doświadczam od godziny...
 »mam ci powiedzieć tysiąc rzeczy, muszę ko-
 »niecznie mówić z tobą...Wiem, że niebez-
 »pieczeństwo zagraża mojemu życiu, ale gar-
 »dzę wszystkiemi choćby miał zginąć w two-
 »ich oczach...(*wystrzał w ogrodzie*) Co sły-
 »szę...Oh nieszczęśliwy! zapewne go dostrze-
 »żono!..*(biegnie do okna, otwiera je prędko chcąc*
zobaczyć, co się stało, i spostrzega p. Malzena
na balkonie)

SCENA XII.

PAULINA, MALZEN.

PAULINA. (*cofając się z krzykiem*)

Ab!

MALZEN. *(cicho)*

Pani, milczenie...lub zginąłem!

P A U L I N A.

Co widzę.

MALZEN. *(j. w.)*

Scigano mię, z jeden strzelców zapytał mię:
kte idzie!

P A U L I N A.

O Nieba!

M A L Z E N.

Nie obawiaj się pani, nieodpowiedziałem.
Strzelec rozgniewany, wziął na cel, szczę-
ściem zastoniony gęstemi zaroślami dostałem
się aż do kraty tego balkonu.

PAULINA. *(opierając się o krzesło)*

Zaledwie utrzymać się mogę.

M A L Z E N.

Uspokój się pani.

P A U L I N A.

Boże!

MALZEN. *(przy oknie na prawo, słucha co się
po za oknem dzieje)*

Cicho, pani, zaklinam cię. Otwierają okno.

P A U L I N A.

To moja siołka.

MALZEN. (*slucha*)

Nieszpokojna...dowiaduje się o przyczynę tego wystrzału...Odpowiadają jej że to było dla postrachu tylko...wybornie! Zaleca im jak największą baczność. Okno się zamyka.

P A U L I N A.

Oddycham.

MALZEN. (*zamyka okno*)

Już wszystko się uspokoiło. (*idąc ku Paulinie*) Ah pani, jakże się usprawiedliwić, że stałem się przyczyną takiego przestרחu.

PAULINA. (*zmieszana*)

Ale teraz panie baronie, cóż zamysłasz czynić? Sądzę że natychmiast się oddalisz.

M A L Z E N.

Ale którądy?

P A U L I N A.

Tą samą drogą...

M A L Z E N.

Niepodobna; strzelcy rozstawieni. Pomnij pani, że mię ścigają, i nie mógłbym pomimo,

ciemności uniknąć ich strzałów. Błagam więc o święte prawo gościzności...

P A U L I N A,

Jakto panie baronie?..

M A L Z E N.

Czyliż trzeba błagać o takie dobrodziejstwo! mniemałem, że nieszczęśliwy, chociażby to był twój mąż pani, powinien go się spodziewać od ciebie.

PAULINA. (*z żywością*)

Ja nie mówię, nie... ale pan nie możesz tu zostać... trzeba się oddalić natychmiast.. chcę tego...

MALZEN. (*idąc do drzwi na prawo*)

Może te drzwi...

PAULINA. (*zatrzymując go*)

To jest pokój mojej ciotki.

M A L Z E N.

Tam do kata!.. (*wskazując na drzwi po lewej*) A te drzwi...

P A U L I N A.

Te prowadzą na schody; i... (*chce je otworzyć, i zatrzymuje się, słuchając*) Słyszę kogoś idącego.

FRITZ. (*za drzwiami, cichym głosem*)
Pani baronowo!

PAULINA. (*cicho*)

Fritz!

FRITZ. (*jak wyżej*)

Niech się pani niczego nie obawia; jej cioczka kazala mi pilnować w tym kurytarzu, mozesz pani spać spokojnie... ja tu jestem...

P A U L I N A.

O Boże!.. jakimże więc sposobem?

M A L Z E N.

Jest tylko jeden... z narażeniem mojego życia. (*biegnąc do okna*) Przez to okno...

PAULINA. (*wstrzymując go*)

O nieba! Nie, panie baronie... proszę... (*przypominając sobie*) Tegoby też tylko nie dostaowało... Wielki Boże! gdyby dostrzeżono, iż ktoś wykrada się odemnie. (*idzie naprzód sceny na prawo*)

MALZEN. (*zbliżając się także, z uśmiechem*)

Mąż tylko mógłby się gniewać o to... a my możemy być o niego spokojni.

P A U L I N A.

Ale....

M A L Z E N.

Ale pani chcesz, żebym został, jestem posłuszny, zostaję.

PAULINA. (*n. s.*)

No... teraz ja mu odejść nie pozwalam. (*siada przed toaletą*)

MALZEN. (*ogłędając się do koła*)

Jestem więc w twoim pokoju!.. w tym pokoju, który miał być naszym, i z którego sam się wygnałem... Jestem przy tobie... ale tylko z łaski, jak ten, któremu pozwalają kilku chwil gościnności... a jutro...

PAULINA. (*patrzac na zegar*)

Oh do jutra jeszcze daleko!..

MALZEN. (*zbliza się do Pauliny*)

Ja nie będę się użalała dla mnie czas zbyt prędko upłynie.

P A U L I N A,

Panie baronie... proszę...

MALZEN. (*wracając na swoje miejsce*)

Sprawiedliwie... przebacz mi pani. Za udzielone mi schronienie, nie powinienem przynajmniej stawać się natrętnym. Bądź pani spokoj-

na, nie będę ci przeszkadzał... tu jest moje
miejsce... tu... na krześle... pozwolisz pani ?

P A U L I N A.

Ah muszę!

M A L Z E N.

Jak jesteś dobrą! (*siada, chwila miłości*)
Proszę pani, udaj się na spoczynek, nie zwa-
żaj na mnie wcale. Czuję dobrze, że w obe-
cném położeniu, spokojność jest od nas daleko...
mówią: że prawujący się, nie śpiją... a więc
możemy przynajmniej mówić o jej procesie,
albowiem teraz pani chcesz się prawować, przy-
muszasz mię do tego... i uprzedzam, że bro-
nić się będę z zaciętością... że użyję wszystkich
sposobów, abyś przegrała.

{PAULINA. (*patrzac na niego*)

Wistocie, pan mię zadziwiasz. Zdaje się, że
zupełnie zmieniliśmy nasze role, bo dzisiej-
szego rana jeszcze...

{MALZEN. (*wstaje i zbliża się do Pauliny*)

Nie wspominaj pani o dzisiejszym poranku,
o dniu wczorajszym... byłem nierozsądnym...
głupcem...

P A U L I N A.

A teraz czy sądzisz się pan roztropniejszym?

M A L Z E N.

Nie, ale sprawiedliwszym... bo nauczyłem się oceniać cię pani... Są przesady, których bronić bynajmniej nie mam zamiaru, ale które winienem był szanować, jako przesady mojej rodziny... Ojciec mój związek ten uważa za plamę naszego imienia...

P A U L I N A.

A pan z łatwością podzieliłś jego nienawiść.

M A L Z E N.

Wyznaję, mój ojciec był wszystkiemu dla mnie. Dla tego też, pełen uprzedzeń podzielałem sposób jego myślenia; lecz przekonany jestem, gdyby cię był znał pani, byłby tak postąpił jak ja czynię w tej chwili; nie znając, stałe postanowił nie przyjąć cię, i przegrane procesu wtrąciło go do grobu.

PAULINA. (*wstaje*)

O nieba!..

M A L Z E N.

Osądź więc pani sama, jakie mię zajmowały uczucia, kiedy się miałem z tobą połączyć; osądź, czyli moja nienawiść była sprawiedliwą.

Niegodne z tobą postępowanie, zdawało mi się zemstą za mojego ojca. Jedno twoje słowo zmieniło wszystkie moje zamiary i ukazało cały ogrom moich przewinień... teraz pragnę je zagładzić, pozyskać twoje przebaczenie, i powrócić cię szczęściu, którego tak godną jesteś...

PAULINA. (*z wzruszeniem*)

Szczęście!.. I któż ci panie powiedział, że ja mogę być jeszcze szczęśliwą!

MALZEN. (*zdziwiony*)

Jakto?

P A U L I N A.

Któż ci powiedział, że ten związek, który mi chcesz narzucić, nie byłby wieczną dla mnie męczarnią?

M A L Z E N.

Co słyszę!

P A U L I N A.

Czy pan baron wie, że gdy traf nieszczęsnny ukazał cię moim oczom, moja rodzina nie uczyniła już względem mnie postanowień?.. czy ja sama nie uczyniłam już wyboru, w którym zawarłam wszystkie nadzieje mojego ży-

cia? jakież więc masz prawo zmieniać moje przeznaczenie? I za tyle nieszczęść, za tyle obrazy...jakie wynagrodzenie?...cóż mi ofiarujesz?...rękę człowieka którego nie znam...który mię poświęcił wzgardzie i...którego może nienawidzić powinnam.

M A L Z E N.

O Nieba...miałażbyś pani kochać innego!

PAULINA. (*obojętnie*)

Jakież pan masz prawo chcieć poznać moje uczucia!

M A L Z E N.

Nie mąż zapytuje się o to... Od tej chwili już nim nie jestem... ale powiedz przez liść...

PAULINA. (*spokojnie*)

Żadnej odpowiedzi...

M A L Z E N.

Milczenie twoje jest dostateczną... Słuchaj mię Paulino, popełniłem zbrodnię, przez trzy lata, z mojej przyczyny nieszczęście było twoim udziałem... ale ten jeden dzień jest dostateczną zemstą. Tak, bądź zadowoloną, ciesz

się teraz z twojego zwycięstwa i moich cierpień bez granic... (z mocą) Kocham cię!

P A U L I N A.

Co słyszę!

M A L Z E N.

Z całym zapamiętaniem uczuć!.. Od chwili kiedy ujrzałem cię ukazującą się moim oczom jako anioł dobroci, nadewszystko kiedyś uściskał mojego syna, nie mogę ci wyrazić, co się w moim sercu dzieje... Nie mogę żyć bez ciebie! i w tejże chwili, kiedy cię tracę na zawsze... kiedy mię porzucasz. Paulino, ty kochasz innego!

P A U L I N A.

Któż ci to powiedział?

M A L Z E N.

Ty sama, twoje milczenie...

P A U L I N A.

Dla czegoż je w ten sposób tłumaczyć?

MALZEN. (z radością)

Więc nikogo nie kochasz?

P A U L I N A.

Ani tego nie mówiłam...

M A L Z E N.

I któżby godzien był takiego szczęścia...
Jeżeli ono przynależy temu, który cię naj-

mocniej kocha, któż więcej nademnie wógl-
by mieć do niego prawa?.. Krew moję, życie
moje poświęcę na okupienie moich błędów.
Każdy dzień nowemi przeświadczać cię będę
dowody, że cię ubóstwiam, że pragnę zasto-
żyć na twoje przebaczenie, a może kiedyś
przekonana o mojej miłości, przebaczysz mi...

PAULINA. (*drżąca*)

Nie myśl nawet o tém... bo gdybym ja na-
wet... zapomniala o twoich przewinieniach,
mojej ciotki nie wzruszyć nie zdoła; przyrze-
kla niezłomną nienawieć, przysięgła że nigdy
nie przebaczy, a moja ciotka, ze wstydem wy-
znaje, lepiej odemnie dotrzymuje swoich przy-
siąg.

M A L Z E N.

Co słyszę!

P A U L I N A.

Ja nic nie powiedziałam.

MALZEN. (*z zapalem*)

W imie mojej miłości... w imie naszego sy-
na, powróć mi dobro, które mojem było...
Tak, Paulino, dopomniam się o moje prawa...
moją jesteś... do mnie należysz!

PAULINA. (*kładąc mu rękę na ustach*)
Cicho... ktoś idzie!

MALZEN. (*kłęką*)
Ah jakżem szczęśliwy!...

SCENA XIII.

PANI BARNECK, PAULINA, MALZEN.

PAULINA. (*d. s., strwożona*)

Moja ciotka. (*Malzen kłękcy, Paulina staje przed nim i zasłania go suknią*) Co widzę! to ty moja ciotko... tak wcześnie!

PANI BARNECK.

Już dzień oddawna; a potem, przychodzę ci oznajmić wizytę... Pan Prezydent, którego majetność graniczy z naszą... Kazałam go wczoraj uwiadomić... tylko co przybył...

PAULINA.

Tyle sobie zadał przykrości, tak rano!

PANI BARNECK.

Przykrości, co mówisz, to przyjemność... Mając fuzję na plecach, poluje sobie, i polując wymierza sprawiedliwość... Pójdź, czekają cię.

PAULINA,

Po cóż?..

P. B A R N E C K.

Formalność... Trzeba tylko ponowić wczorajsze oświadczenie w jego obecności.

MALZEN. (*przytrzymując ją za suknię*)

Nie pójdziesz.

P. B A R N E C K.

I wobec wybranych świadków, pana Sidler i pana Salsbach zeznaję, że od czasu podania prośby o rozwód, nie widziałas twojego męża, co bardzo łatwo zeznać będzie można, nieprawdaż Paulino?

PAULINA. (*nieco strwożona*)

Tak moja ciotko.

P. B A R N E C K.

Żeś z nim nie mówiła.

PAULINA. (*jak wyżej*)

Tak moja ciotko.

PANI BARNECK.

Jednym słowem, że nie było żadnego zbliżenia pomiędzy wami... (*zbliża się do Pauliny, chce ją wziąć za rękę, i spostrzega klęczącego Malzena*) Co widzę!.. Jaka zgroza!..

PAULINA, (*chcąc ją uspokoić*)

Drogo ciotko, przez litość!..

P. B A R N E C K.

A właśnie świadkowie nadchodzą!..(*biegnie ku drzwiom, kiedy wchodzi Sidler i Salsbach*)
Panowie, nie wolno wchodzić...Zakazuję wam patrzeć.. .

S C E N A XIV i OSTATNIA.

SIDLER, SALSBACH, PANI BARNECK, PAULINA,
MALZEN, MŁODZIEŻ.

S I D L E R.

Co widzę! mogęż oczom moim wierzyć?

P. B A R N E C K.

Ledwo się wstrzymać mogę z gniewu.

S A L S B A C H.

Czy to dla rozłączenia, razem ich znajdujemy?

P. B A R N E C K.

Ledwie oddycham.

S A L S B A C H.

Zamknijci w tym pokoju...od wczoraj wieczór...

PANI BARNECK.

A pani baronowa, jeszcze mię przywitała:
»jako tak wczesnie!«

S A L S B A C H.

Cóż tedy świadczyć mamy?

PANI BARNECK. (*w gniewie*)

Poświadczycie panowie że jestem najmocniej rozgniewaną...że wypędzam jegomości... że go nigdy nie przyjmę w moim domu.

P A U L I N A.

O Nieba!

PANI BARNECK.

I że ty moja siostrzenico , przysięgłaś, że mnie nigdy nie odstąpisz.

PAULINA. (*spuszczając oczy*)

Prawda.

M A L Z E N.

Wierz mi pani, że pragnę najgoręcej abyś raczyła potwierdzić przebaczenie które otrzymałem od Pauliny...ale w tej chwili nie będę usiłował wzruszyć ją mojami prośbami z uszanowaniem ulegnę jej rozkazom...

P. BARNECK, (*z postacią groźną*)

Spodziewam się...bo gdyby nie...

M A L Z E N.

A ponieważ mnie pani wypędzasz, poddaję się mojemu losowi. (*biorąc Paulinę za rękę, udając smutek*) Kochana żono, pożegnaj twoją dobrą ciotkę...i jedźmy ..

PANI BARNECK.

Co pan mówisz?

M A L Z E N.

Ze ją biorę ze sobą.

P. B A R N E C K.

Bierzesz ją ze sobą!.. mogłażby ona na to zezwolić!

SALSBACH. (*obojętnie, zażywając tabakę*)

Czyby zezwoliła lub nie...prawa jest takie... żona powinna iść za wolą swojego męża.

PANI BARNECK.

Boże!

M A L Z E N.

Co się tycze mojego syna!..ile ty!ko razy pani będziesz go chciała widzieć...

PANI BARNECK.

I to dziecię!..mój syn chrzestny!..i jego weźmiesz ze sobą.

SALSBACH. (*obojętnie*)

Pani zabronić nie możesz...ojciec...a prawo mówi: *Pater is est quem justae nuptiae...*

PANI BARNECK.

Eh daj mi pan pokój ze swoją łaciną!

MALZEN. (*do Sidlera*)

Ty mój przyjacielu, nie odstąpisz mię...a ponieważ pan Salsbach jako przyjaciel domu i pojednawca, raczył przyjąć u mnie pomieszkowanie...

PANI BARNECK.

I pan także?..wszyscy mnie opuszczają!..Mam więc zostać sama w tym rozległym zamczysku!..

S A L S B A C H.

Nie nasza wina!

PAULINA. (*prosząc*)

Droga ciotko!

M A L Z E N.

Pani!

S A L S B A C H.

I ja moje prośby przyłączam!

PANI BARNECK.

Proszę was dajcie mi pokój, w jednym dniu utracić powód do którego nawykłam oddawna. Nie, nie dotrzymam przysięg moich...nie będę go tu przyjmowała...A ponieważ zabiera mi moją siostrzenicę i mojego syna chrzestnego, ponieważ zabiera wszystkich!..niechże więc i mnie zabierze.

S A L S B A C H.

Bravo! pokój podpisany...Zgodzili się, mam więc nadzieję że wkrótce będę przynajmniej baronem. (*cicho do Malzena*) Kochany przyjacielu, pewny jestem że wynagrodzisz czas stracony...mały synek siostry oczekuje.

K O N I E C.

MAŻ

MIMO WIEDZY.

KOMEDJO - OPERA

W JEDNYM AKCIE

z francuzkiego

T E U M A C Z O N A .

Muzyka, JP. Kratzera:



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

NA TEATRZE ROZMAITOSCI

dnia 2 Września 1833 r.

O S O B Y.

FLORVAL,	JP. <i>Jasiński.</i>
GERNANCE. jego przyjaciel,	JP. <i>Giżewski.</i>
ELIZA Fleury, siostra p. Gernance, młoda wdowa,	JPi. <i>Moszyńska.</i>
JULISIA, jej służąca,	JPa. <i>Baranowska.</i>
DUBOIS, służący w domu Elizy Fleury,	JP. <i>Majewski.</i>
DERCOUR, jubiler,	JP. <i>Moszyński.</i>
OGRODNIK,	JP. <i>Smiałkowski.</i>
STANGRET,	* * *
MURGRABIA domu,	JP. <i>Gwozdecki.</i>
TAPICER,	JP. <i>Jaroszek.</i>

(Rzecz dzieje się w zamku Elizy Fleury
o 30 mil od Paryża na drodze do Bordeaux)

MAŻ

MIMO WIEDZY.

(Scena przedstawia salon pięknie umeblowany, po lewej pokój Elizy, po prawej sypialny Florvala)

SCENA I.

GERNANCE, JULISIA, DUBOIS.

(wchodząc z głębi)

GERNANCE. *(do Julisi i Dubois)*

Pamiętajcież moje polecenia, Julisiu zwasz zamiary twojej pani, może ufać twojej zręczności że jej dopomożesz. *(do Dubois)* Co

do ciebie, nie wiesz o co rzecz idzie, można przeto być pewnym twojego milczenia.

DUBOIS.

Jeżeli mi nie powiedzą co się tu święci...

JULISIA.

Ty pewno nie odgadniesz; tego właśnie chcemy.

GERNANCE. (*do Julisi*)

Czy już wszyscy wiedzą że pan Florval mąż twojej pani, przybył wczoraj wieczór?

JULISIA.

Ta nowina właśnie tego poranku jest w ustach wszystkich służących, łatwo się pan domyślisz że się wkrótce rozniesie.

GERNANCE. (*do Julisi*)

Zapewniłaś mię że służący znają tylko moją siostrę pod nazwiskiem pani Florval?

JULISIA.

Niczawodnie. Nie wiedzą nawet pańskiego nazwiska, i nie domyślają się że jesteś bratem naszej pani.

GERNANCE.

Nie zadługo wyjaśni się wszystko.

JULISIA.

Co do innych krewnych, służący nie sły-

szeli nawet nikogo mówiącego o nich, bo przyjęci są do służby od czasu zamężcia pani, a licząc od tej daty, nie widzieliśmy ani jednego kuzyna.

G E R N A N C E.

Bardzo wierzę; nasza rodzina jest razem bogatą i dumą, a całym majątkiem Florvala był honor i uczeiwość. (*do Dubois*) Pan twój zapewne wkrótce wstanie, przedstawiś mu się pierwszy gotów na jego usługi.

D U B O I S.

Ale ja mojego pana nigdy nie widziałem.

G E R N A N C E.

Łatwo go poznasz; wesolość jego duszą, przyjemny, zawsze śmiejący się, i ręką że w biesiadzie życia nigdy cierpienie nie było jego gościem.

D U B O I S.

Widać jakiś człowiek lubiący sobie żyć dobrze.

G E R N A N C E. (*dawszy znak Julisi*)

Niewątpliwie, (*do Dubois skrycie*) ale przytem cokolwiek oryginał, i mimo swoich 30

lat jeszcze trzpiot: czasami tak roztrzepany, że bywały zdarzenia iż zapominał że jest żonatym i utrzymywał że się nie ożenił wcale.

D U B O I S.

Oh musi być bardzo wesoly kiedy o tém mógł zapomnieć.

J U L I S I A.

A jednakże jest to niemal powszechna choroba wszystkich mężów.

SPIEW, NRO I.

Hymen zrazu ukazuje,

Same roskosze słodycze,

Wkrótce ciężar się uczuje,

I nikną kwiaty zwodnicze.

Chcąc słodzić los przeznaczenia,

Nie jeden z mężulków grona,

Choć go wiernie kocha żona,

Pije wodę zapomnienia.

GERNANCE. (*do Dubois*)

Znasz już tedy sposób myślenia Florwala, i dlatego najego mowę nie trzeba zwracać uwagi; kiedy mu się nie przeciwią ta słabość mija. A więc, cokolwiek bądź by mówił, pamiętaj że jest żonatym i twoim panem.

D U B O I S.

Do tego nie trzeba wiele pamięci.

GERNANCE. (*do Julisi*)

Teraz nie pozwalaj wejść żadnemu krewnemu któryby się sam przedstawiał, ja powinienem wprowadzić każdego; gdyby który z nich przybył, odmów przyjęcia, a nade wszystko nie uwiadamiaj o tém p. Florval.

J U L I S I A.

Bądź pan spokojny, pójdę wydać stosowne rozkazy; a razem nauczę wszystkich jak sobie postępować mają. (*Julisia i Dubois wychodzą*)

SCENA II.

GERNANCE. (*sam*)

Teraz Florval może się ukazać; wszystko umówione na jego przyjęcie. Ocalił mi życie i honor, czyniąc ofiarę z swojego majątku, do mnie należy przywrócić mu ten majątek. Kochałam zawsze moją siostrę; oddać mu ją za żonę jest to co najlepszego uczynić mogę, a jednakże musiałem użyć podstępu. Florval mimo swojej otwartości, mimo szczerości po-

stępowania; posiada jednak serce wyniosłe, i czas nie przytłumił w jego pamięci wzdąry jaką mu moja familja wyrządziła. Mysląc tylko o bogactwie które jej całe szczęście stanowiło odrzucała życzenia człowieka, którego szczupłe mienie los tyśiącznemi cnoty nagrodził.

SCENA III.

GERNANCE, ELIZA.

ELIZA. (*wychodząc ostrożnie z pokoju po lewej*)

Czy można wejść, czy Florval już tu był?

GERNANCE.

Nie jeszcze, śpi w najlepsze... jak mąż po 6. miesiącach małżeństwa.

ELIZA.

Więc nie wie że jest przy swojej żonie?

GERNANCE.

A z kądżeby o tem wiedział? Wczoraj wsiedliśmy do dylizansu, po całonocnej podróży, na pół spiący przyjechał do tego zamku, który dzięki ciemnej nocy i waszej przezorności wziął z łatwością za oberżę.

E L I Z A.

Gdyby nie przywiązanie moje ku niemu, nigdybym na twój podstęp nie zezwoliła, bo nakoniec narzucasz mię niejako Florvalowi; mimo wiedzy ustaliłeś los jego.

G E R N A N C E.

Od wypadku, który go pozbawił całego majątku, otaczając tylko wierzycielami, mieszkał ze mną, żyliśmy jak dwaj bracia; kiedy utraciłaś męża, którego nasi rodzice, nie twoje serce nad niego przenieśli; wspominałem Florvalowi, że jako wdowa mogłabyś powtórnie zawrzeć związek. Znałem twoje uczucia, on nie zmienił się wcale; tylko gniew przeciw naszej familji walczył z przywiązaniem ku tobie, i pewnego dnia odpowiedział mi stale: »Kocham twoją siostrę, ale nie połączę się z nią, dopóki twoja familja, która dla szczupłego majątku odrzuciła moje prośby, nie wezwie mię sama do podpisania kontraktu.« Wtedy użyłem podstępu, kazałem przygotować intercyzę ślubną, i pokazałem ją Florvalowi, nie czytając podpisał, powiedziałem mu bo-

wiem, że to jest jeden z wexli, które tak często wspólnie podpisywałeśmy.

E L I Z A.

Przyznaj bracie, że to jest nadużyciem jego łatwowierności.

G E R N A N C E.

Prawda, godzien pożałowania. Trzydzieści tysięcy liwrów rocznego dochodu i piękna kobieta, którą kocha nad życie.

E L I Z A,

Kocha mię nad życie! od sześciu miesięcy jest moim mężem, a oboje dotychczas nie wiemy o tem.

G E R N A N C E.

Rozumiem.

SPIEW, NRO 2.

Ah teraz jasno już widzę powody,
Dla czego nie dajesz wiary,
Kto nie wie że jest mężem żony młoděj,
Ten surowej godzien kary.
Lecz gdy was błogie już połączą śluby,
Gdy uścisk odbierzesz żony,
Z zyskiem nagrodzi, godnym nawet chluby,
Młoděj żonce czas stracony.

E L I Z A.

Jeżeli zachował to przywiązanie, o którym mię zapewniasz, lepiejby było wyznać mu wszystko szczerze.

G E R N A N C E.

Broń Boże! gdyby najmniejsze powziął podejrzenie, że nasi krewni przeciwni są temu związkowi, ani szczęście, ani miłość wstrzymałyby go nie zdołały. Zaufaj staraniom brata, jemu powierz przyszłość twoją, a dziś jeszcze całą familję nakłonię do potwierdzenia waszego związku. *(odchodzą, Eliza do swojego pokoju, Gernance na prawo)*

S C E N A IV.

FLORVAL. *(sam, wychodzi w ubiorze podróżnym)*

Na honor, spałem przepysznie! Trzeba przyznać, że moje łóżko było tak wygodne, jakiego w żadnej oberży nie miałem. *(oglądając się wokoło)* Rzecz szczególniejsza, wczoraj ta oberża zdawała mi się dosyć nędzna, dziś widzę się w prześlicznym salonie. Mniej-

sza o to. Nasza podróż przyjemnie się zaczyna, Gernance rzekł wczoraj do mnie: »Interes przymusza mię jechać do Bordeaux, czy chcesz mi towarzyszyć? Z całego serca. Jedźmy więc!« Jedźmy, odpowiedziałem, jestem gotów, nie mam żony, dzieci, nie znam żadnych kłopotów gospodarskich, to są korzyści kawalerskiego stanu. Chciałem się przecież żenić, i czuję, że teraz kocham ją równie jak dawniej... Zapomnijmy o tem... zapomnijmy... tam nie serca, ale pieniędzy żądali... Gernance uprzedził mię, że nie będzie dziś jadł ze mną śniadania; nie wiem jaki go interes zatrzymał, bo u mnie jeść i pić to jest rzecz najważniejsza. Hola! héj! jest tam kto... cóż to? czy tu nie ma nikogo!

S C E N A V.

FLORVAL, DUBOIS. (*wchodzi, wielokrotnie kłaniając się*)

FLORVAL. (*n. s.*)

Jakiś grzeczny chłopak,

DUBOIS.

Co pan dobrodziej żąda?

FLORVAL.

Czego żąda, do kata! tego co się zwykle żąda o godzinie dziesiątej z rana, kiedy kto jest zdrow, odprawił podróż całonocną; chcę jeść, mój przyjacielu, zjadłbym dobre śniadanie.

DUBOIS.

Czy pan sam tylko...

FLORVAL.

Sam... ale możesz mi dać śniadanie na dwóch, tém się nie przestraszę.

DUBOIS.

Ale ja nie to chciałem powiedzieć, pytam się czy pan nie będziesz jadt z panią?

FLORVAL. (*zdziwiony*)

Z panią domu?

DUBOIS. (*n. s.*)

Także pytanie? (*głośno*) Tak jest, z panią domu.

FLORVAL. (*n. s.*)

Co u kata, miałżebym jej oczki ściagnąć na siebie, może co ładnego... (*uważając swój ubiór*) Nie, nie mogę się przedstawić, lepiej od-

mówić towarzystwa... (*głośno*) Mój przyjacielu, wymówisz mię przed panią tej oberży.

DUBOIS. (*n. s.*)

Przed panią tej oberży? oho, już widzę że go coś napada. (*głośno*) Ja o żonie pana do-brodzieja chcę mówić.

FLORVAL. (*zdziwiony*)

O mojej żonie? Tu musi być jakaś pomyłka; ale mój kochany jesteś w błędzie...

DUBOIS. (*n. s.*)

Szczególniejszy człowiek. (*głośno*) Upe-wniam pana że się nie mylę, pani czekała na pana; nawet poleciła przygotować śniadanie.

FLORVAL. (*z żywością*)

Poleciła przygotować śniadanie? Nie mylisz się, wcale się nie mylisz mój przyjacielu. — Spiesz się, idź prędko, przynieś je.

DUBOIS.

Natychmiast.

F L O R V A L

Jeszcze słówko, nie potrzeba nic mówić mojej żonie; ja jej sam później powiem; mam okropny apetyt, a kiedy czuję w sobie takie

usposobienie głodu, najlepiej lubię sam być przy stole; bo wiem jak biedni są mężowie i jak często głodni spać isć muszą...

SPIEW, NR 3.

Żona troskliwa o zdrowie,

Czuła, lubiąca porządek,

»To szkodzi,« do męża powie,

Choć z głodu mruczy żołądek.

Hymen wrogiem apetytu,

Wie o tęż żonka kochana;

Gdy się mąż naje do sytu,

Spi od wieczora do rana.

DUBOIS. (*odchodząc, n. s.*)

Są jednak chwile, że bardzo rozumnie mówi. (*odchodzi*)

SCENA VI.

FLORVAL. (*sam*)

A więc śniadanie tuż, mam nadzieję że będzie cztery razy lepsze, aniżeli myślałem. Jednakże gdyby w najsmaczniejszym toku nadzedł prawdziwy małżonek, i powstał na mnie z gniewem... Ja, który zwykle rzeczy wesole

biore, prosiłbym go żeby usiadł obok mnie,
i takbym mu powiedział:

SPIEW, NRO 4.

Na co gniewy, złorzeczenia,
Były tak liczne przykłady,
Ze gdy się myśl żonki zmienia,
Nie jest to dowodem zdrady?
Obrażać się nie ma czego,
Gdybym ja z tobą był panie,
Miałbym się za szczęśliwego,
Ze kończy wszystko śniadanie.

Ale coś nie widać tego przyjemnego człowieka, który mi tak ponętą uczynił obietnicę.—
Hej! przyjacielu. (*uderza w stół*) Vivat oberże!
tu grzeczność na stronę! a zwłaszcza ja, który
nie lubię wszelkiego przymusu. (*dzwoni mocno*)
Jeżeli się stłucze lub zepsuje dzwonek, zapłacę, i
na tém koniec.

SCENA VII.

FLORVAL, JULISIA.

JULISIA.

Cóż się stało, co znaczy to gwałtowne dzwo-
nienie?

FLORVAL. *(nie przestając dzwonić)*

Nic, nic, nie zważaj na to wcale.

JULISIA.

Jakto nie zważać?.. Pan obudzisz panią?

FLORVAL.

Kogo?.. Panią...

JULISIA.

Żonę pańską.

FLORVAL.

Ah prawda, zapomniałem... że mam żonę...
(tajemniczo) Słuchaj no moje dziecko, czy jej pokój sypialny jest tu blisko?

JULISIA.

Piękne pytanie męża! Pan nie pamiętasz gdzie spijańska małżonka..oh niech mię Bóg zachowa od podobnego męża... W istocie, pan nie jesteś godzien takiego serca, ona z takim utęsknieniem czekała...

FLORVAL.

Oh biedaczka! pojmuje... oh ja to znam, jak przykro czekać... a teraz?..

JULISIA.

Teraz zasnęła. Może sen błogi obecność jej pana przedstawia.

FLORVAL.

Niech będzie pewną, że nie przerwę jej spoczynku.

SPIEW, NR 5.

Chlubne małżonek życzenie,
By szanować ich ustronie,
Chcesz nie znać co jest cierpienie,
Więc się nie sprzeciwiaj żonie.
Wnet powstanie wstępnym bojem
Za rozkaz światła zgwałcony,
Kto się cieszyć chce pokojem,
Niechaj nie budzi swej żony.

(Spostrzegając wchodzących ze śniadaniem.)
Ah, otóż radość dla mnie!

SCENA VIII.

FLORVAL, JULISIA, DUBOIS. *(dwóch lokai
w liberji, wnosi stół)*

(W tej scenie dwaj lokaje powinni stać za Florvałem, za każdym razem kiedy Florval sięga po jaką potrawę, lokaje mu ją podają; jeżeli chce sobie nalać wina, uprzedzają go, biorąc butelkę aby mieć zaszczyt nalewania mu; co jest powodem nowego zadziwienia Florvalowi.)

DUBOIS.

Kiedyż pan dobrodziej będzie łaskaw zasiąść do stołu?

FLORVAL. (*patrzac na lokai*)

Do kata, widać że moja żona prowadzi dom niepospolity. Musi być jakaś dama wielkiego tonu, która w podróży ma tylu ludzi ze sobą. Teraz muszę się przekonać, czy też dobrego kucharza wybrała! bo kucharz podług mnie, jest najlepszym dowodem dobrego mienia. (*sia-da*) Wszystko ma śliczną minę! (*je z chciwością*) Ależ też był nielitościwie głodny! przedziwne! oh jakaś wielka pani, niezawodnie! (*do Julisi*) Jak się nazywasz moja kochana?

JULISIA.

Julisia, do usług.

FLORVAL.

Julisia... ładne dziewczę... wcale... ale kapłon piękniejszy; a u mnie zwykle apetyt miał pierwszeństwo przed wdziękami, i wyznam szczerze, że kiedy głodny byłem na przechadzce, wszystkie kobiety wydawały się szkaradne w moich oczach. (*do Dubois*) A ty... mój przyjacielu kto jesteś?..

DUBOIS.

Dubois, wierny sługa pański.

FLORVAL.

Mój Dubois i Julsiu, powiedzcie mojej żonie, że jestem zupełnie zadowolony z przygotowanego śniadania.

JULSIA.

Gdyby tu była, przekonałaby się naocznie o zadowoleniu pana dobrodzieja.

FLORVAL. (*do Dubois*)

Co za wino?

DUBOIS.

Sauterne.

FLORVAL.

Stary mój przyjaciel, znamy się oddawna ze sobą. Powiedz mi mój Dubois, wiele mamy butelek tego gatunku w piwnicy?

DUBOIS.

Pięćset lub sześćset być powinno.

FLORVAL.

Pięćset! piękny zapas, i nie drogo mię kosztował.

JULSIA.

Wierzę bardzo, kiedy go kto w spadku dostaje: są to ostatnie szczątki piwnicy stryja pana dobrodzieja, który był miljonowym niedławię panem.

FLORVAL. (*zadziwiony*);

Mój stryj milionowym panem. A więc zdrowie tego siryja, (*n. s.*) którego nigdy nie widziałem. (*pije*) Wyborne wino! i sądząc po winie, mój stryj musiał być bardzo dobry człowiek, już czuję w mojej głowie zbawien-ny ogień jego piwnicy, musiał to być zacny staruszek jeżeli dzień jego życia wraz z gro-nem tych win zabłysnął. (*podając szklanke*)

DUBOIS. (*do Julisi*)

Stworzony na pana.

F L O R V A L.

Cześć przodkom moim i winu ich piwnic!
(*wypiwszy, wstaje od stołu, który lokaje wyno-
szą, n. s.*) Teraz kiedy się najadł i napił
trzeba ich z błędu wyprowadzić. (*biorąc Juli-
się i Dubois za ręce*) Moje dzieci, wzięliście
mnie za męża waszej pani; uległem tej omył-
ce; ale każdy żart powinien mieć swój ko-
niec; dla tego tego też oświadczam wam: że
nie jestem wcale żonatym.

DUBOIS. (*cofając się nagle*)

Otóż mamy, znowu się miesza w jego gło-

wie, teraz nie wiem czy skutkiem wina, czy słabości.

J U L I S I A.

Ale dajże pan dobrodziej pokój, nie żartuj z nas.

F L O R V A L.

Nie, mówię wam szczerą prawdę.

SPIEW, NRO 6.

J U L I S I A.

Że się pan bawi naszym kosztem widzę,
Ale niech pozwolić raczy,
Że nie wierzymy...

F L O R V A L.

Ja się kłamstwem brzydę.

J U L I S I A.

Wiemy co ten żarcik znaczy.

F L O R V A L.

Strzegłem się pilnie, ślubu obowiązków,
Kochać krótko, przestać na tym,
Zkażdym dniem zmieniać...

J U L I S I A.

To jest dowód związków,
Pan pewnie jesteś żonatym.

SCENA IX.

FLORVAL. (*śmiejąc się*)

Ha! ha! przedziwnie! A to proszę, żenią mnie bez ceremonji. Na honor! jeżeli moja żona jest jakieś miłuchne stworzenie, z twarzą ujmującą, postacią kształtną, oczyma pełnymi życia, włosiem ciemnym.. jeżeli podobna do tej której serce nigdy wielbić nie przestanie... jeżeli ona.. do kroć set! czemużbym miał unikać szczęścia i przeciwić się wypadkowi który dotychczas najprzyjemniej rozwija się przedemną? Zdmuchnąwszy śniadanie męża, byłoby z niemałą dla mnie korzyścią gdyby można zdmuchnąć także...

SCENA X.

FLORVAL, DERCOUR.

DERCOUR. (*n. s.*)

Niezawodnie pan domu! Z porządku rzeczy trzeba się zgłosić do niego.

FLORVAL. (*nie widząc Dercoura*)

Gernance zapewne już powrócił, lubi się

bawić, muszę mu opowiedzieć moją dziwną awanturę. (*spotyka pana Dercour który mu się klania, n. s.*) Któż jest ten jegomość?

DERCOUR.

Zapewne z panem Florval mam zaszczyt mówić?

FLORVAL. (*wahając się nieco*)

Z nim samym. Jakaż przyczyna pana tu sprowadza?

DERCOUR. (*pokazując rachunek*)

Jeżeli pan dobrodziej łaskawie przejrzcć raczy...

FLORVAL. (*biorąc papier*)

Co widzę? (*czyta*) Rachunek biżuterji wziętych przez panią Florval, od p. Dercour, jubilera.

DERCOUR.

To ja.

FLORVAL. (*n. s.*)

Pani Florval? To trochę za wiele. Ciekawym na czém się to skończy. (*czyta*) Łańcuch złoty i przepaska na czoło w kształcie księżycy z podniesionemi rogami... (*patrząc na*

Dercoura zadziwiony) Przepaska na czoko
w kształcie księżycy z podniesionemi rogami.

D U R C O U R.

Podarunki ślubne.

F L O R V A L.

Bardzo dziękuję. Ale powiedz mi mój pa-
nie kto kazał ci się udać do mnie? Miałe-
bym ja przypadkiem posłać męża z przepaską
o której wzmianka w rachunku pańskim.

D E R C O U R.

Czyliż pana zadziwia moje postępowanie?
Wszakże zwykle żony kupują a mężowie płacą.

F L O R V A L.

Moja metoda postępowania jest zupełnie
przeciwną: ja kupuję a moja żona płaci; wszel-
kie wydatki do niej należą, radzę więc pójść
do niej, ona kupowała, ona zaspokoi nale-
żytość! (n. s.) Niech mię piorun trzaśnie jeże-
li co rozumiem, biegnę szukać mojego przy-
jaciela Gernance i namówić go aby jak naj-
prędzej wyjechać z tych miejsc gdzie za śnia-
danie każą mi kupować przepaskę z podnie-
sionemi rogami.

SCENA XI.

DERCOUR. (i óżn'ej) JULISIA.

DERCOUR.

Szczególniejszy małżonek. Rzecz dziwna, powiedział: ja kupuję, a moja żona płaci. Jaka byłaby zbawienna odmiana w naszym małżeńskim świecie żeby wszystkie żony taki system przyjąć chciały.

JULISIA,

I cóż panie Dercour, czy pan Florval pozwolił przedstawić sobie...

DERCOUR.

Nie idzie tu o pozwolenie, ale on płacić nie chce.

JULISIA.

Bądź pan spokojny, proszę z sobą do pani, ona wszystko zapłaci. (*Dercour i Julisia wchodząc do pokoju Elizy*)

SCENA XII.

FLORVAL. (*wchodzi głębią*)

Nie podobna go znaleźć, jakby go na świecie nie było...nikt nie może, czyli też nie chce uwiadomić mię o nim; teraz już nie wiem

gdzie jestem... sądziłem żeśmy stanęli w obierzy... a znajduję się w przepyszny domu... Kogo tylko napotkam, patrzy na mnie od stóp do głów, lękam się pytać o co, z obawy, aby się na śmiech nie wystaćwić; bo nie wątpię, że to jest żart albo zakład mojego przyjaciela Gernance.

SCENA XIII.

FLORVAL, JULISIA. (*wychodząc z pokoju Elizy*)

JULISIA.

Przynoszę rachunek pana Dercour zakwitowany zupełnie. (*oddaje panu Florval*)

FLORVAL.

Zakwitowany? A więc twoja pani zapłaciła?

JULISIA.

Pan żartuje, wiemy że znane mu są dokładnie obowiązki małżonka. W istocie postępowanie pana odznacza się taką grzecznością.

FLORVAL. (*czyta rachunek*)

•Odebrałem z rąk pana Florval 20,000 franków...• Rzecz niepojęta, i mówisz że to ja zapłaciłem...

JULISIA.

Bezwątpienia.

FLORVAL.

Widzę, że twoja pani jest bardzo skromna; i byłoby nie małą dla mnie stratą, gdyby mając jakiegokolwiek - bądź życzenie, zamilczała o niem przedemną. *(słychać dzwonienie)*

JULISIA. *(z pośpiechem)*

Obudziła się, przepraszam pana...

FLORVAL. *(zatrzymując ją)*

Czekaj no, czekaj, nie spiesz się; prócz tego gdyby moja żona była w złym humorze, rozumiesz... jak jej powiesz że ja...

JULISIA.

Ta wymówka nie wieleby się przydała; ponieważ wiadomo panu, jak prowadzić umiała swojego pierwszego męża!

FLORVAL.

Swojego pierwszego męża?.. A więc ja z wdową się ożeniłem!.. dobrze i o tem wiedzieć... nie bardzo się z tego cieszę... wdowa nie frazka, jest nad czém pomyśleć...

SPIEW, NRO 7.

W jej sercu pełnem boleści,
Tkwi obraz straty zbyt żywej,

By stłumić żal nieszczęśliwej,
Podwójnej potrzeba cześci.

Powinien w nowym zapale
Zmarłego przypomnieć drugi,
I chcąc być kochanym stale,
Obu trzeba mieć zasługi.

(po śpiewie słyhać mocniejsze dzwonienie)

JULISIA.

Ah mój Boże, przez pana jeszcze co usłyszę!

FLORVAL. *(biegnąc za nią)*

I ja biegnę z tobą.

JULISIA.

Nie, to być nie może.

FLORVAL.

Jakto być nie może? nie wolno mi wejść do mojej żony! *(chciał wejść, Julisia zamknęła drzwi)*

FLORVAL.

Gdybym jeszcze najmniejszą miał wątpliwość, że jestem małżonkiem, ten postępek przeświadczyłby mię dostatecznie. Heżto razy mężowi zamknięto drzwi przed nosem, kiedy inne drzwi komuś ucieczkę ułatwiały.

SCENA XIV.

FLORVAL, TAPICER, OGRODNIK, STANGRET,
MURGRABIA DOMU, I LOKAJE.

MURGRABIA.

Przychodzimy na rozkaz Wgo pana.

FLORVAL

Cóż to za szanowne zgromadzenie?

TAPICER.

Jestem tapicerem twojego zamku panie.

FLORVAL.

A ten zielony jegomość?

OGRODNIK.

Ogrodnik do usług Wgo pana.

MURGRABIA.

Ja jestem murgrabią całego domu, urządzam
wszystkie uczty.

FLORVAL. (*n. s.*)

Rozumiem, mój dwór, moi ludzie, ale mo-
że który z nich powie mi... (*głośno*) Powiedz-
cież mi moi przyjaciele, z kimby tu można
rozsądnie pomówić!

WSZYSCY.

Ze mną, ze mną...

FLORVAL.

Tylko mówicie jeden po drugim. (*biorąc na
stronę tapicera*) Któż was tu przysłał i po co?

TAPICER.

Małżonka Wgo pana, mamy urządzić salony.

FLORVAL.

Kto, mówisz?

TAPICER.

Żona pana dobrodzieja!

FLORVAL. (*odpychając go*)

Niech cię kaci porwą! (*biorąc n. s. ogrodnika*) Ty masz postać dobrego chłopca, powiedzże mi, kto kazał poczynić te przygotowania?

OGRODNIK.

Żona Wgo pana.

FLORVAL. (*odpychając*);

Oh!.. (*n. s.*) W tém jest jakaś tajemnica; gdyby można uniknąć tych wszystkich... Myśl śmieszna, ich zabiegi na niczémby spełzły.— (*do stangreta*) Słuchaj no, pójdź bliżej.. Do ciebie należy stajnia, nieprawdaż?

STANGRET.

Tak Wżny panie; i mogę się pochwalić, że doglądam ich troskliwie.

FLORVAL.

Czy mam ja mały, lekki koczyk?

11*

S T A N G R E T.

Oh jest, śliczny i mocny.

F L O R V A L.

Przygotujże go do drogi i załóż parę koni.

S T A N G R E T.

Gniadego i kasztanka.

F L O R V A L.

Tak, tak, gniadego i kasztanka; jak będziesz gotów, wyjedziesz na wielką drogę, i czekać mnie będziesz o dwieście kroków.

S T A N G R E T.

Dobrze Wży panie.

F L O R V A L. (n. s.)

Teraz będę im posłuszny. (głośno) No, no moi przyjaciele nie zabieram wam czasu, idźcie do waszych zatrudnień wkrótce wydam wam nowe rozkazy. (wszyscy wychodzą)

SCENA XV.

F L O R V A L, ELIZA. (wchodzi zasłonięta)

F L O R V A L.

Drzwi się otwierają, dowiem się nakoniec. Jaka figurka!.. (zbliżając się) Przebacz pani mojej ciekawości, przyjechałam tu o północy, znużony podróżą, ciemnością zmyślony

a może cel żartu przyjaciela któremu bardziej wesołość jak rozsądek przewodniczy... sądziłem że znajduję się w oberży...

E L I Z A.

Z łatwością można się było tego domyśleć po sposobie jego postępowania. Przybyłeś pan wczoraj, i nie pomyślałeś nawet aby mię kazać uwiadomić, a dziś z hałasem budzisz wszystkich, jesz śniadanie bezemnie, i na domiar uchybień należnych mi względów, czekasz dopóki ja nie przyjdę do ciebie... Po sześciu miesiącach oddalenia czy tak mąż z żoną obchodzić się powinien.

FLORVAL. (*zdumiały*)

Mąż?

ELIZA. (*uśmiechając się*)

I cóż mój przyjacielu; żadnej odpowiedzi, dla miłości to zbyt mało, znasz tę piosnkę.

SPIEW, NRO 8.

Małżonek młodej Adeli,

Opuścił ją od pół roku,

Wierna, tkliwa, wśród czcicieli,

Stałość błyszczy w sercu w oku.

Lecz smutna nieszczęść kolejną,
Zasyła modły do Nieba,
Przyjaźń może żyć nadzieją,
Miłości coś więcej trzeba.

FLORVAL. (n. s.)

Nie...ja rozum tracę... widocznie rzecz u-
mówiona...

E L I Z A.

Odwracasz oczy, nie starasz się nawet u-
niewinnic!...

FLORVAL. (n. s.)

Ha kiedy tak, posuwajmy rzecz rozpoczę-
tą, ciekawym...osoba nie brzydka... (*głośno,*
zblizając się do Elizy) Pani postępowałem
nieco po kawalersku, przebacz mi; byłem
tak długo bezzennym, (*wziąwszy jej rękę*
całuje z uniesieniem) ale czuję że przy tobie
z łatwością zapomnę wszystkich przyjemności
kawalerskiego stanu; od tej chwili już cię
nie opuszczę; nie odstąpię ani na krok, zbyt
długo byłem oddalony, abym nie miał powe-
tować tej straty..

ELIZA. (*n. s.*)

Nie bardzo przyjemne położenie.

FLORVAL.

Odtąd wieczny pokój, droga żono, przekonanaś się że jestem skromny w żądaniach, bo mówiłaś sama przed chwilą: miłości coś więcej trzeba; a więc...ja przestanę na najmniejszym zakładzie...

ELIZA. (*n. s.*)

Teraz trzeba zmienić wszystko.

FLORVAL. (*ściskając ją zbliżka*)

A więc zgoda! racz zapomnieć moich uchybień, i na dowód jedno pocałowanie...

ELIZA. (*z żywością, zmuszając Florvala do cofnięcia się*)

Zapomnieć. Nie mości panie, nigdy ci ich nie przebaczę. Obojętność twoją dla mnie okazujesz widocznie nawet w obec naszych ludzi; do tego stopnia, że kiedy ci mówią o mnie ty przechodząc zakres żartu, ośmielasz się utrzymywać że nie jesteś nawet żonatym.

FLORVAL. (*n. s.*)

Tak mówi, jakby w istocie była moją żo-

na. (*głośno*) A więc mościu pani, ponieważ jestem twoim mężem, pozwolisz że ja teraz z kolei powiem ci otwarcie, iż mi się niepodoba zupełnie ta tajemnica...Racysz uchylić nieco tę zasłonę która ukrywa przed moim wzrokiem rysy...

E L I Z A.

Zapomniane od ciebie!

F L O R V A L.

Zapomniane, wiesz o tém dobrze że zapomnieć o żonie niepodobna i nie odmówisz mi posłuszeństwa...one jest obowiązkiem waszym.

E L I Z A.

Ten żart ze strony męża jest bardzo nie na swoim miejscu, i żartował byś z mojej słabości, gdybym wypełniła podobne żądanie.

F L O R V A L.

A więc użyję powagi małżonka. (*chce iść ku niej*)

E L I Z A.

A ja przebiegłości żony! (*ucieka do pokoju*)

SCENA XVI.

FLORVAL. (*sam*)

Otóż prawdziwa małżeńska scena, albo nie znam się na tem zupełnie! Jeżeli żart, wyznaję cokolwiek za daleko posunięty, byłoby w tem cokolwiek prawdy... Ta wyrachowana nieobecność przyjaciela Gernance, ci służący... Mimo tej tajemniczej zastony i usiłowań w przybraniu surowszego głosu, zdawało mi się że poznawałem... (*ogładając się do koła*) Mimoswolnego doznaję wzruszenia. Ale stałości, dokroś set katów, muszę wyjaśnić moje podejrzenia. (*widząc wchodzącego Dubois*) Od Julisi nic dowiedzieć się nie mogę, może ten chłopiec nie będzie tak skryty. (*do Dubois*) Przybliź się...

SCENA XVII.

FLORVAL, DUBOIS.

FLORVAL.

Sluchaj Dubois, wiadomo ci, że przepędziłem kilka miesięcy zdala od mojego zamku.

DUBOIS.

Wiem panie.

FLORVAL. (*uważając twarz Dubois*)

Jakież osoby w mojej nieobecności zwykle tu bywały? Czy nie mógłbyś mi wymienić nie których?

DUBOIS. (*n. s.*)

Zapewne zazdrość go dręczy. (*głośno*) Da-libóg—panie, nie żeby mi zbywało na chęci, na szczeręj chęci założyć uczynienia panu, ale nie mogę powiedzieć...

FLORVEL. (*zicha*)

Czy ci zakazono?

DUBOIS.

O nie bynajmniej; chciałbym nawet wymienić kogo, ale tu nikt nie bywał.

FLORVAL.

Czy moja żona ma krewnych?

DUBOIS.

A co się tego tycze...krewieństwa... Tylkoż bo polecono mi jak najsurowiej aby nie wpuszczać nikogo.

FLORVAL.

To ci polecono?

DUBOIS.

Tak Wżny panie. Pierwszy, który się moim oczom ukazał, był brat pani, który przyjechał dzisiejszej nocy z Wżnym panem.

FLORVAL. *(z zadziwieniem)*

Jéj bra! co ty mówisz?

DUBOIS.

Ale tak jest, brat! Wżny pan nibyto nie wie... On uwiadomił o przybyciu pana murgrabiego zamku, a ten oznajmił to wszystkim służącym, ci opowiedzieli swoim żonom, a żony rozniosły natychmiast tę radosną wiadomość na dwie mile w sąsiedztwo... i zaręczam że na dzisiejszej zabawie będzie nie mało gości.

FLORVAL.

Jakże mnie mógł Gernance tak wystawiać na pośmiech całego miasta... Przenikam jego zamiary; przez przyjaźń dla mnie, szaleństw się dopuszcza. Gdybym mógł... nauczka będzie wyborna, ale oboje na nią zasługują. *(siada, pisze, złożywszy i napisawszy)* Teraz na mnie kolej ubawić się ich kosztem. *(do Dubois)* Jak tylko mój szwagier powróci, oddasz mu ten

list. *(z powagą)* Nie rusz się z miejsca dopóki tego nie dopełnisz, bo cię ubiję! *(Dubois bierze list. Florval odchodząc, patrzy ciągle na Dubois spojrzeniem rozkazującym, a doszedłszy do drzwi, uśmiecha się)*

SCENA XVIII.

DUBOIS. *(sam)*

! Nie rusz się z miejsca, dopóki tego nie dopełnisz, bo cię ubiję...aha! już zaczyna przemawiać jak pan domu... No, ja będę stał, czemu nie...ale jeżeli szwagier do jutra nie przyjdzie, to ja umrę z głodu... oh ruszę się...albo co...*(odchodzi parę kroków i wraca na swoje miejsce)* che! już go nie ma. *(chodzi)* oj, oj, ktoś idzie! strach na mnie!

SCENA XIX.

DUBOIS, GERNANCE.

DUBOIS. *(n. s.)*

Ah chwala Bogu, pan szwagier.

G E R N A N C E.

Dzięki niebu, wszystko poszło stosownie do życzeń moich. Potrafiłem zwyciężyć opór krewnych, podpisali kontrakt i przyjdą tu za chwilę.

DUBOIS.

Panie! panie!

GERNANCE.

Proszę pana!

DUBOIS.

Ale tu... do mnie, proszę pana.

GERNANCE.

Czego chcesz?

DUBOIS.

Nie wolno mi się z miejsca ruszyć, a mam oddać list.

GERNANCE.

Od kogo...

DUBOIS.

Od tego pana, który nie chciał być mężem i panem domu, a teraz przyrzekł ubić mnie na miejscu, jeżeli się ruszę z miejsca nim pan nadejdzie i list mu doręczę.

GERNANCE.

Daj głupcze i idź precz!

DUBOIS: *(oddaje mu list)*

Ha! chwala Bogu, najbardziej się tego lękałem żebym nie zapomniał jak kuchnia wygląda, biegnę ją obejrzeć.

SCENA XX.

GERNANCE, *(sam)*

List od Florvala!

(czyta) »Przyjacielu!«

»Pamięć Elizy jest mi zawsze drogą.« Bardzo temu wierzę. »Lecz jeżeli wżgarda okazana mi przez twoją familją, zniwoliła mię zapomnieć o niej, dziś mój obowiązek nakazuje mi święciej jeszcze wygładzić ją zupełnie z pamięci. »Od roku jestem potajemnie złączony związku ślubnem, mam żonę którą kocham nad życie...« Ma żonę, a ja nic o tem nie wiem... co się ze mną dzieje!.. »Twoja lekkomyślna przyjaźń zmusiła mię uczynić ci wyznanie tajemnicy, która dla ważnych powodów miała być wszystkim nie znaną.«

Sposób wyrażenia się w tym liście, ten ton uroczysty, którego Florval tak rzadko używa... wszystko lękać mi się każe, aby to nie było prawdą. Jakże ukryć moje pomieszanie przed rodziną, przyjaciółmi, których już zaprosiłem, przed moją siostrą!..

SCENA XXI.

ELIZA, GERNANCE.

ELIZA. (*ubrana strojnie*)

Oczekiwałam z niecierpliwością twojego po-

wrotu. Mam ci wiele rzeczy powiedzieć, widziałam Florvala...

G E R N A N C E.

Widziałaś go...

E L I Z A.

Mówiłam z nim nawet; może się myłę, ale lękam się, czyli przywiązanie do mnie nie wygasło w jego sercu.

G E R N A N C E.

Jako? sądzisz...

E L I Z A.

Nie był tak przejętym, tak wzruszonym, jak się spodziewałam.

G E R N A N C E.

Wistocie?..

ELIZA. *(z ufnością)*

Ale to mię nie dziwi...

G E R N A N C E.

Jakto?

E L I Z A.

Nie wiedział z kim mówił. Okryta zasłoną, przedstawiłam mu się jako jego żona, ah gdybyś go widział! Każdy mój wyraz wprowadził go w zadumanie!

G E R N A N C E.

Łatwo temu wierzę.

ELIZA. (*zalotnie*) .

Ale teraz nie wątpisz, że gdy mnie w tym ubiorze zobaczy... Cóż ci jest... z kąd ta niespokojność?..

GERNANCE. (*oddając jej list*)

Czytaj, co Florval pisze do mnie w tej chwili.

ELIZA. (*przeczytawszy z pośpiechem*)

Możesz to być... o Boże!.. Patrz teraz, dokąd mnie zawiodły twoja nierozwaga i lekkomyślność!

G E R N A N C E.

Otóż mamy podziękowanie, i jedno i drugie na mnie; chciałem im zapewnić szczęście, jednemu dać żonę, drugiej męża, że oboje tego potrzebujecie...

E L I Z A.

Przestańże mój bracie; jak można żartować w takiej chwili, otóż skutki twojego szaleństwa!

G E R N A N C E.

Ale czyż mogłem pomyśleć, że człowiek żonaty będzie żył jak bezzenny; przecież z nim razem mieszkalem, i mógłbym ci przysiąc...

E L I Z A.

Cóż począć teraz, wszyscy już wiedzą o tym związku.

S C E N A XXII.

POPRZEDZAJĄCY, DUBOIS.

DUBOIS. (*wesoło*)

Goście przybyli.

E L I Z A.

Co za kłopot!

DUBOIS. (*do Gernance*)

Siostrzeńcy pana, kuzyni, stryjowie, wujowie, nawet dziadki...

G E R N A N C E.

Daj mi pokój...

DUBOIS. (*do Elizy*)

Kuzynki pani, ciotki, babki, czy mam tu wprowadzić?

E L I Z A. (*zgniewem*)

Muszę widzieć się z Florvałem, powiem mu teraz jakie powzięłam o nim zdanie.

G E R N A N C E.

Nie ujdzie i moich sprawiedliwych wyrzutów; ale pociesz się siostrzo, jeżeli ma żonę, nie

bardzo ją kochać musi, ja wiem najlepiej, a są osoby które o tem jeszcze lepiej wiedzą o demnie.

E L I Z A.

Tyle przysiąg, tyle zapewnień najśwalszych uczuć!..

G E R N A N C E.

Nie daruję mu nigdy tego przewinienia względem przyjaźni!

E L I Z A.

Muszę się z nim widzieć natychmiast. (*chce odéjść*)

G E R N A N C E.

Nie, zostań siostrze. Ja sam z nim po mówię, to do mnie należy. (*chce wyjść*)

SCENA XXIII

CIŻ I JULISIA.

JULISIA. (*zadyszana, zatrzymując p. Gernance*)

Ah panie, panie, dokąd pan idzie?

G E R N A N C E.

Chcę się zobaczyć z florvałem.

J U L I S I A.

Oh! już on ztąd daleko.

G E R N A N C E.

Co mówisz?

J U L I S I A.

Kazał potajemnie zaprządz do powozu, z pośpiechem wypełuiono jego rozkazy; wszakże pan polecił aby mu wszyscy byli posłuszni...

G E R N A N C E.

I cóż?...

J U L I S I A.

I teraz właśnie widziałam koczyc w największym pędzie na wielkiej drodze...

S C E N A **XXI** I OSTATNIA.

CIŻ I FLORVAL. (*ukazuje się we drzwiach swojego gabinetu, podstuchiwa i śmieje się*)

ELIZA. (*do brata*)

Ah bracie! jakżem nieszczęśliwa, któż określi moje cierpienia!..

DUBOIS. (*n. s.*)

Wierzę bardzo, narzeczony odjechał od narzeczonej własnym jej powozem.

GERNANCE: (*do Elizy*)

Ci ludzie są tak niedbali...

JULISIA. (*do Dubois*)

Pewna jestem że ten głupiec jest przyczyną tego wszystkiego.

D U B O I S.

Ja o niczém nie wiem...

FLORVAL. (*n. s.*)

Ab, oddałem im za moje...

ELIZA. (*do Gernance*)

Nie można było postępować nierozważnie.

GERNANCE. (*z gniewem*)

Tak, jeszcze teraz powstań na mnie...

E L I Z A.

Podstępem nakłonić Florvala do podpisania kontraktu ślubnego?

FLORVAL. (*n. s.*)

Co slysze!

E L I Z A.

I sześć miesięcy zostawić go w tym błędzie.

FLORVAL. (*n. s.*)

Już sześć miesięcy! co za szkoda że o tém nie wiedziałem!

G E R N A N C E.

Teraz właśnie czas rozprawić.

FLORVAL. (*n. s.*)

Prawda już się stało.

E L I Z A.

Cóż począć?

DUBOIS. (n. s.)

Oh w kłopotcie o męża, przybra sprawa, już się ma ..a tu nic z tego...

G E R N A N C E,

Nie pojmuję...

E L I Z A.

Trzeba jechać...

G E R N A N C E.

Zachowajmy jednak największą tajemnicę... zniszczmy intercyzę.

E L I Z A.

Tyle najpiękniejszych nadziei jedna chwila niweczy!

FLORVAL. (n. s.)

Dosyć już tego...

G E R N A N C E.

Zapomnij, o nim siostrze... niewdzięczny, mógł zapomnieć...niechże więc...(chce rozedrzeć akt. Florval zatrzymuje go)

F L O R V A L.

Wstrzymaj się...

E L I Z A.

Florval!

G E R N A N C E.

Przyjaciele!

DUBOIS.

Oh teraz się mojej pani serce ucieszyło!

GERNANCE:

Możesz to być... To co na pisałeś.

FLORVAL.

Jest prawdą.

ELIZA.

Prawdą.

GERNANCE.

A więc masz żonę?

FLORVAL.

Mam i jestem najszczęśliwszy...

GERNANCE.

A ja nie o tem nie wiedziałem:

FLORVAL.

Przeciwnie, tobie ją winienem...i o to widzisz
mię u nóg jej klęczącego...

ELIZA.

Co! więc to ja?..(po chwili) a ten list ..

FLORVAL.

Zmyślenie, i chęć odwetu.

ELIZA.

Florvalu!

FLORVAL.

Żono!

GERNANCE.

Ah dobrze że się tak skończyło, bo byłbym
długo za to cierpiał...

F L O R V A L.

SPIEW, NRO 9.

Dziwaczne losu zdarzenia

Długo mą duszę dręczyły,

Dziś przyjaźń tłumi cierpienia,

Wraca sercu przedmiot miły.

W przyjaznym szczęścia przelocie,

Żem był mężem nie wiedziałem;

Teraz gdy prawdę poznałem,

Czas już nim zostać wistocie.

G E R N A N C E

Codzień widzimy na świecie

Jak bojnie przyjaźnią sięją,

Mnóstwo życzliwych znajdziecie,

Gdy kielich krąży koleją.

Zonka ładna, trzos pieniędzy,

Przy dostatkach i ochocie

Tłum przyjaciół...ale w nędzy,

Rzadki przyjaciel wistocie.

J U L I S I A.

Chociaż ślubne związki ganią,

I troski ich i zgryzoty,

Jednak rządzić i być panią,

To dla kobiet jest wiek złoty.

Choć męzulko nam doskwiera,
Trudno ufać jego cnocie,
Lżej gdy się żoną umiera,
Niż panną, panną w istocie.

E L I Z A.

Niech krytyka zbyt surowa,
Będzie dziś dla nas łaskawą,
Niech rzecz ta lubo nie nowa,
Do względów uzyska prawo.
Jeśli jaką wartość miała,
Błąd łatwo znaleźć w odwrocie,
By was rozśmieszyć zdołała,
Taki był jej cel w istocie.

K O N I E C.

**ŁOKAJ
W ZALOTACH,
KOMEDJO - OPERA**

W JEDNYM AKCIE

przerobiona z francuzkiego

PP. Lalove i Simmonnin.

Muzyka, JP. Kratzera.



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

NA TEATRZE ROZMAITOSCI

dnia 25 Czerwca 1832 r.

O S O B Y.

HRABINA	JPa. <i>Werowska.</i>
FRYDERYK, jej służący	JP. <i>Jasiński.</i>
STANISŁAW, bogaty kmięć	JP. <i>Szymanowski.</i>
HELENA, jego siostrzenica	JPi. <i>Moszyńska.</i>
ŁUKASZ	JP. <i>Majewski.</i>
FRANCISZEK, jego przyjaciel	JP. <i>Gizewski.</i>
Kommissarz dóbr HRABINY	

(Rzecz dzieje się o kilkanaście mil od Warszawy.)

LOKAJ W ZALOTACH.

(Scena przedstawia wiejską okolicę, po prawej domek bardzo porządny, naprzeciw niego altana, w której stoi stół, na nim rysunki, książki i co potrzebne do pisania.)

SCENA I.

ŁUKASZ I FRANCISZEK.

ŁUKASZ. *(z mocnym westchnieniem)*

Ah! mój Boże! mój Boże!

FRANCISZEK.

Westchnąłeś porządnie, mógłbyś tym westchnieniem, skrzydła od wiatraka poruszyć.—

Cóż to za przyczyna?

ŁUKASZ.

Jestem zakochany...

F R A N C I S Z E K.

Jestem głupi, powiedz raczej.

Ł U K A S Z.

Ah! dla czegoż Helusia jeździła do Warszawy, po co ona się tylu rzeczy tam nauczyła?.. teraz, ja nie jestem w stanie rozmówić się z nią...

F R A N C I S Z E K.

Nasz poczciwy Stanisław temu nie winien... on nie jest wcale dumny...

Ł U K A S Z.

Oh! wiem dobrze. Ojciec Helenki umierając, wymógł na nim przyrzeczenie, że ją poszła do Warszawy na edukację... Ale ja bym był wolał, żeby ona z nami była chodziła do szkoły do naszego bakałarza...

F R A N C I S Z E K.

Prawda, nieboszczyk Grzegorz miał dziwaczne myśli; kto go tylko znał, pamiętał, że lubił nosa do góry zadzierać... tém bardziej, że miał nie źle wyładowaną kieszeń... nie wiedział co robić z pieniędzmi...

Ł U K A S Z.

Piękna przyczyna, miał pieniądze... toćże przecie i pan Stanisław nie jest bez grosza, a. przecież nie dmie z tego. Posyłać pannę do

Warszawy na edukację!.. jak gdyby i tu jej mieć nie mogła; jak gdyby nasz bakalarz nie mógł jej tak dobrze jak w Warszawie czytać nauczyć.

FRANCISZEK.

Umiałaby dosyć jak na córkę poczciwego dzierzawcy, umiałaby to, co do niej należy, zamiast tych romansów, malowidel, które ze stolicy z sobą przywiozła. W tej altanie cały poranek zawsze przepędza i robi wiersze... Powiedz mi, co to jest robić wiersze?..bo malowidła?..

ŁUKASZ.

Malowidła...kiedy rysuje.

FRANCISZEK.

A wiersze?..

ŁUKASZ.

Patrz. *(pokazuje mu altanę, gdzie leżą książki i t. p.)*

FRANCISZEK.

No ja rozumiem że tu Helenka była dziś w tej altanie, ale ja cię pytam co to jest robić wiersze?

ŁUKASZ.

Otóż to, co ona pisała...

FRANCISZEK.

Pisanie, ja znam...ale wiersze co to jest, co to znaczy? jużci musi być coś innego...

ŁUKASZ.

Zaraz się dowiemy. (*pokazując papier zapisany*) No, weź ten papier, a zaraz zobaczysz, co są wiersze.

FRANCISZEK.

Kiedy ja nieumiem czytać, tylko na książce.

ŁUKASZ.

Ja też nie mówię żebyś czytał, tylko przy-
patrzył się...No...teraz już wiesz.

FRANCISZEK. (*przypatrzwszy się*)

Kiedy powiadasz że już wiem, musi tak być. Ale pójdźmy...

ŁUKASZ.

Pójdźmy.. .mogę ja zład odejść?..Nie tak łatwo, wiesz przecie, że mam rywala ..ten wymuskany jegomość z miasta, który od niejakiego czasu mieszka w zamku, z głosem słodkiuchym, układny, na cieniuchnych nogach.

FRANCISZEK.

Do jelenia podobny...No, no! wypłoszymy my go z kniei.

ŁUKASZ.

Ah! mój Franciszku, żeby można odsadzić go!..Ale cóż, on zawsze słodkie przynosi bileciki...a Helena jak na złość niezmiernie lubi czytać takie rzeczy.

SPIEW, NR 1.

Im głupsza która dziewczyna,
Tym w moich oczach ładniejsza,
Rozum najpierwsza przyczyna,
Która ich powaby zmniejsza.
Miłość jest pisma początkiem,
W niem jest dziewcząt dowcip cały,
Kaźda była niewiniątkiem,
Póki listów nie pisały.

FRANCISZEK.

Wiesz co? poszukajmy Stanisława, on pewno teraz jest we młynie...*

ŁUKASZ.

Dobrze mówisz, pójdźmy pogadać z jej stryjem, a potem..naszemu fireykowi przysłużemy się porządnie.

FRANCISZEK.

Jakiś powóz zajechał.

ŁUKASZ.

I niech go tam!..(wychodzą przeciwną stroną wejściu wchodzących osób)

SCENA II.

HRABINA, KOMMISSARZ, FRYDERYK.

(w czarnym fraku idzie za niemi)

KOMMISSARZ.

Przykro mi, że Jaśnie Wielmożna pani byłaś przymuszoną wysiąść z powozu; ale trzeba nam koniecznie było udać się ścieżką, którą tylko pieszo przebyć można.

HRABINA.

Upewniam cię panie kommissarzu, że ta mała przechadzka jest przyjemnością dla mnie; od wczoraj dopiero będąc na wsi, napawam się wszystkimi jej pięknosciami.

KOMMISSARZ.

Czy Jaśnie Wielmożna pani zadowolona z wewnętrznego urządzenia zamku?

HRABINA.

Mój Fryderyk, którego naprzód wysłałam dla poczynienia przygotowań, bardzo pięknie dopełnił włożonego nań obowiązku.

FRYDERYK. (*klaniając się*)

Chciałem się okazać godnym zaufania twojego Jaśnie Wielmożna pani.

K O M M I S S A R Z.

Będę miał zaszczyt przedstawić Jaśnie Wielmożnej pani moje mieszkanie, lecz jeżeli pani hrabina czuje się być znużoną, możemy spocząć w tym domku, jest on własnością najbogatszego z dzierżawców.

FRYDERYK. (*n. s.*)

Co za przekłeta myśl... bodajesz był onie-miał!..

H R A B I N A.

Nie, nie jestem wcale utrudzoną, pójdziemy dalej.

FRYDERYK. (*n. s.*)

Cbwała Bogu!..

H R A B I N A.

Fryderyku, powiedz Marcinowi, ażeby powóz odprowadził do zamku, przyjdiesz do mnie wpołudnie do pana kommissazza.

F R Y D E R Y K.

Rozumiem, (*w kulisie*) Marcinie, do domu. He?.. Czy masz wyprządź? (*do Hrabiny*) Pyta, czy ma konie odłożyć?

H R A B I N A.

Może...powrócę pieszo...ty mi podasz rękę.

F R Y D E R Y K.

Wielkie to dla mnie szczęście. (*biegnie w kulisy niby do stangreta i wraca natychmiast*)

H R A B I N A. (*uwważając ubiór Fryderyka*)

Dla czegoż ten ubiór czarny? Mówiłam ci już tyle razy Fryderyku, abyś kładł zawsze, zwłaszcza gdy mi towarzyszysz, ubiór, dający poznać, że nie jesteś równego mi stanu.

F R Y D E R Y K.

Pani Hrabina chce zapewne mówić...(*oznacza palcem galony sukni lokajskiej*) Sądziłem że na wsi...

H R A B I N A. (*do Kommissarza*)

Przebacz mi pan...Służę mu...

K O M M I S S A R Z.

Ja raczej, Hrabino, mam ten zaszczyt...(*wychodzą rozmawiając*)

S C E N A III.

F R Y D E R Y K. (*sam*)

Zdjąć suknię, która mi dopomaga do swycięstw... Spodziewałem się Hrabiny dopiero

na przyszły miesiąc; ba, wczoraj przyjechała, w chwili, kiedy najmniej o niej myślano w tym zamku, gdzie jestem od piętnastu dni sam rządzącą i panem. Doglądałam robotników z nieprzerwaną gorliwością, wyjąwszy kilku chwil, użytych na zaloty do młodych wieśniaczek... a szczególnie do mieszkającej w tym domu, z którą już na dobre rozmawiamy o małżeństwie!... Z tego powodu, w okropnym byłem strachu przed chwilą... drżałem z chawy, aby nie wyjrzała oknem, lub drzwiami na drogę od zamku... Coby też była powiedziała, postrzegłszy mnie za powozem?.. musiałbym jej wyznać, że jestem lokajem, a to właśnie surpryza, którą dla niej aż po ślubie zachowałem, teraz bowiem mogłaby cokolwiek pokrzyżować moje zamysły! Dalibóg, już mi się przykrzy służyć w Warszawie, oddałę się na wuś zostanę sobie poczciwym rolnikiem, będę żył owocami, nabiałem, w pośród tych niewinnych owieczek. Podbicie sereca siostrzenicy Stanisława, najbogatszego dzierżawcy, było

zręcznie dokonane; prócz tego, że bogata, moja Helena, nie jest wcale ową prostą gburową wieśniaczką, co prócz łąk, pól, i baranów nie więcej nie widziała, i która za każdym żartem z otrząśnieniem mówi: »ej, dajtaż pokój, wejcie, co mi za! bez tych wsyc-kich.« Bynajmniej, z moją Heleną miło pomówić, jest to wieśniaczka edukowana, sentymentów pełna!

SCENA IV.

FRYDERYK, HELENA.

HELENA. (n. s.)

Nie omyliłam się, to on.

FRYDERYK. (n. s.)

Jeszcze kilka ustępów z romansów; póki pamięci stanie, póty dowcipu nie zbraknie.

HELENA.

Ah to pan, panie Fryderyku!

FRYDERYK.

Tak jest, ja... ale w pewnym względzie.

SPIEW, NRO 2.

Tak jest, to ja, tak jest, to ja.

Jezli w twojej duszy tkliwej,

Czniesz dla mnie ogień żywy,
Jestem ten sam, tak, tak, to ja.

Lecz jeżeli wyznać muszę,
Inny umiał zająć duszę,

To już nie ja, to już nie ja!

H E L E N A.

Możesz być spokojnym; jeszcze wczoraj
w wieczór mówiłam o tobie z moim wujem,
z moim...

F R Y D E R Y K.

No i cóż tedy, cóż mówili twoi szanowni
krewni?

H E L E N A.

Ażebym była baczna, czyli czasem nie żar-
tujesz z dziewczyny, daleko mniej mającej zna-
czenia!..

F R Y D E R Y K.

Ah! któż tu mówi o znaczeniu! miłość wszel-
ki podział niszczy, równa wszystkie stany, nie
zapominaj nigdy o tém... mam moje przy-
czyny.

H E L E N A.

A więc kochać mnie zawsze będziesz?

F R Y D E R Y K.

Zawsze? dłużej nawet niż zawsze, jeżeli to

być może!.. Bo cóż to jest zawsze? nawet wiecznie jest niczem w porównaniu z tym czasem, przez który cię kochać pragnę! Czyli czytałaś Heleno Magiellonę, Siedmiu mędrców, Alladyna, lub Koloandra i Leonidę? ah tak cię kochać będę, jak Koloander, aż do grobu, i po za grobem jeszcze... a zatem bądź spokojną... nie będę ja w miłości podobnym do terazniejszych małżeństw...

SPIEW, NRO 3.

W miłosnych przysięgach stali,

Każde umiera z tęsknoty,

Dziesięć dni jak się pobrali,

Zniknął czas małżonków złoty.

Mąż klótnie wszczynać się stara,

Zonka go wspiera czasami,

Przed ślubem gołąbków para,

Po ślubie są jastrzębiami!

Ale ja będę zawsze, jakim teraz jestem, uprzejmym, łagodnym, posłusznym.

H E L E N A.

Ah! jakżem szczęśliwa!..

F R Y D E R Y K.

Czytałaś droga połowico serca mojego, Olinpię i Alfonsa?

H E L E N A.

Nie...

F R Y D E R Y K.

Wczoraj z nudów czytałem to dzieło, siedząc w przedpokoju.

H E L E N A.

W przedpokoju?

F R Y D E R Y K.

Jakto w przedpokoju? czy mówiłem w przedpokoju?

H E L E N A.

Tak w istocie...

F R Y D E R Y K.

Ah, ah, przypomniałem sobie pewnego lokaja, który zawsze czytywał... Ale nie mówmy o nim... Jednakże śliczny romans, tak górnym napisany stylem... i bardzo górnym... jednakże ja przenoszę Rinaldiniego; co za szkoda, że nikomu jeszcze na myśl nie przyszło wydać go z obrazkami...

H E L E N A.

Zależy do gustu.

F R Y D E R Y K.

Dobrze mówisz, najpiękniejsza, z najpiękniejszych! Ale powróćmy, do naszego małżeństwa ono naprowadzi nam najroskoszniejsze obrazy,

których nawet ani w Turczynie wojażującym nie znajdziemy. Obraz kochanków łączących się węzłami jedwabiu i kwiatów! Ah! jak miło będzie powiedzieć sobie, jesteśmy szczęśliwi!...przywozić sobie na pamięć życie naszych dziadów, naszych pradziadów, których obyczaje tak były czyste, których węgrym zapachem rodzinną wyjawiał ziemię, którzy byt swój poświęcali tylko miłości, sławie, a ustażom gron winnych.

HELENA. (n. s.)

Jak przyjemny, co za różnica z Łukaszem.

FRYDERYK. (n. s.)

Ah! żebym jeszcze mógł sobie co przypomnieć...(głośno). A na starość, w zimie naszego wieku, będziemy tworzyć obraz roztkliwiający...roztkliwiający...obraz! .

H E L E N A.

Czuję, że my będziemy najzgodniejszym małżeństwem na świecie. Ja każdej twojej chęci dopełnię; czy na koncert, czy na bal czy do kuchni czy do prania pieluch lub którykolwiek z teatrów obierzesz, wszędzie pójdę z ochotą, wszystko z rozkoszą wykonam.

FRYDERYK. (*n. s.*)

Czy tak? oj uważaj Fryderyku!

H E L E N A.

Sądziłeś może iż dla tego, że urodziłam się na wsi, chciałabym w niej pozostać. Znudziły mię już te powaby, które nieznający wsi, pod nieba wynoszą. Mieszkać w Warszawie, jest najgorętszém mojem pragnieniem, bo lubo przez trzy lata byłam tam na pensji, jednakże nasza Madam, zaledwie raz w kwartał pozwoiliła nam przejść kilka ulic. A potem, wstydzę się wyznać, że ty kochany Fryderyku więcej znasz romantycznego świata odemnie, dla nas wszystkie romanse były zakazane, czytanie ich uważano za zbrodnię, ale nie obawiaj się...

SPIEW, NR 4.

Na śmieszność się nie wystawię,

Nie powstydzisz się twój żony,

Nikt nie powie na zabawie,

Żem widziała wiejskie strony.

Reduty, teatru, bale,

Najświeższe kaszmiry, szale,

Zgoła każda nowość wszędy,

Pozyskają moje względy.

Uczestniczka wierna mody,
Gusta moje złączę z twemi;
Bo pierwsza podstawa zgody,
By mężom być posłusznemi.
Nie znajdziesz oporu w żonie,
Życ będziem w zgodzie, szczęśliwie,
Chcesz kupić karete, konie,
Ja się pewno nie przeciwię.

FRYDERYK.

Jeśli mam prawdę wyznać, nie miałem zamiaru..

HELENA.

Oh nie przymuszaj się dla mnie, wychowany wśród zabaw stolicy, nie możesz się ich pozbawiać...Jakież najbardziej lubisz widowiska?

FRYDERYK.

Mówiąc szczerze, wszystkie zarówno.

HELENA.

Jednakże na którym najczęściej bywałeś tej zimy.

FRYDERYK.

Tęj zimy...zaraz (*n. s.*) gdzież oni u diabła najczęściej jeździli?..*(głośno)* na maskaradach, tak, tak, maskarady były najulubieńszą

zabawą (*n. s.*) dla mojego państwa, ho co ja,
to przeklinałem je stojąc na mrozie.

HELENA.

A więc żadnej nieopuścimy.

FRYDERYK. (*n. s.*)

Wątpię bardzo.

HELENA.

Co mówisz?

FRYDERYK.

Mówię... że chętnie bardzo.

HELENA.

A prócz tego, musisz mieć wiele znajomości
w znakomitych domach, nieprawdaż?..

FRYDERYK.

O tek... (*n. s.*) znam wszystkie sienie i przed-
pokoje znakomitych domów.

HELENA.

A więc będziemy oboje kolejno wszystkim
oddawać wizyty.

SPIEW, NRO 5.

Wszakże nikt tego nie zgani,

Chcę się bawić, gdzie się bawisz,

Przyjaciół mi swych przedstawisz,

FRYDERYK. (*n. s.*)

Wszyscy w galony ubrani.

HELENA.

Chcę mieć ćmiące, blaskiem stroje,
Meble gustu najświeższego,
I lokajów liczne roje.

FRYDERYK. (*n. s.*)

Pewno mieć będzie jednego.

SCENA V.

FRYDERYK, HELENA, STANISŁAW, ŁUKASZ,
FRANCISZEK.

FRANCISZEK. (*w głębi*)

Otóż ich macie panie Stanisławie...razem, we
dwoje.

ŁUKASZ.

Ah! mój Boże! ten przekłety elegant...

STANISŁAW.

Ej nie robźe głupstwa, bądź spokojnym; niech
on tego nie widzi, że cię to boli? (*zbliżając
się*) Jegomość, panie Fryderyku!!

FRYDERYK.

Ah! to wy ojcze Stanisławie, zacny gospo-
darzu; przybliź się nieoszacowany człowieku,
lubię bardzo rolników...ten stan czcigodny...No,
jakiż zbiór tego roku, jakaż pszeniczka?

S T A N I S Ł A W.

Na polu wszystko dobrze, dzięki Bogu; ale w moim domu nienajlepiej; nie lubię, żeby młode dziewczęta sam na sam znajdowały się z mężczyznami... a jeszcze z takimi, których się nie zna!..

H E L E N A.

Mój wuju!..

F R Y D E R Y K.

Pozwól mi, ja odpowiem...

Ł U K A S Z.

Jaki grzeczny, ona się obejdzie bez pomocy.

F R Y D E R Y K. *(do Stanisława, zmierzwszy okiem Franciszka i Łukasza)*

Zacny człowieku, w rozmowie, którą prowadziłem z twoją nadobną siostrzenicą, wspominałem o twoich cnotach, o twoich zaletach, tak, o tobie szanowny wuju, pierwsze moje było słowo, nieprawdaż?

S T A N I S Ł A W.

Bardzo wdzięczny, ale ja nie zasługuję na pochwały; poczciwy wieśniak, oto wszystko, a zdaje mi się, że co jest powinnością każdego, nie warte wzmianki: ale co godne wspomnienia jest we mnie, to cierpliwość.

FRYDERYK.

Oh! oh! bez uniesienia, gdybyśmy się chcieli gniewem unosić... Wieśniacy złotego wieku; Korydon i Temira, nie gniewali się nigdy...

ŁUKASZ.

Niech sobie tam Korydon z jakąś... robią co chcą, a my także...

FRANCISZEK.

Tak, tak, macie słusność; robili co chcieli... ale mnie się zdaje, że chociaż ich pan tak chwalisz, przecie i oni wypędziłby wołu, kiedyby wlaźł w kapustę.

FRYDERYK.

Uspokój się dobry Stanisławie, moje zamiary są uczciwe; ręka twojej nadobnej siostrzenicy, jest jedynem dobrem, za którym wzdychamy.

STANISŁAW.

Sluchaj pan, powiem ci krótko i szczerze: nie możesz należeć do naszej familji.

FRYDERYK.

Dla czego?..

STANISŁAW.

SPIEW, NR 6.

U nas na wsi jest zwyczajem,
W równym stanie łączyć dzieci,

Temu córki nie oddajem,
Któryby się wstydział kwieci.
I zwykle mówią wieśniacy;
„Zła różnica, w każdym względzie;“
Chcę mieć zżęcia, pomoc w pracy,
Więc z małżeństwa nic nie będzie.

FRYDERYK. (n. s.)

Otóż jestem między młotem i kowadłem,
ta chce być damą, a ten chce ze mnie chłop-
ka zrobić.

HELENA.

Upewniam cię mój stryju, że pan pomimo
tego, iż jest bardzo znakomitym człowiekiem.

FRYDERYK.

Nie mówmy o tém; moje znaczenie można
odłożyć na bok.

STANISŁAW.

Ale widzisz pan, jako opiekun, jako oj-
ciec tej dziewczyny, powtarzam, że ja chcę
dla niej człowieka prostego, byle uczciwego
i któryby równie jak my, posiadał cnoty do-
mowe.

FRYDERYK.

Cnoty domowe!..ah!..podaj mi rękę Stanisławie, cnoty domowe!..Porządek, czystość w pokojach, sprzątanie!..gospodarstwo. . .to właśnie moje zalety!..to mój udział...to do mnie należy, ja tylko do tego...(wstrzymując się) Słuchaj, ojcze Stanisławie, nie chcę przed wszystkiemi tłumaczyć się; ale ci powiadam, że nasz sposób myślenia, zupełnie się zgadza. Pozwól mi tylko przez chwilę z sobą pomówić, a przekonasz się, że jestem takim, jakiego życzysz za męża, dla twojej siostrzenicy.

STANISŁAW.

Dobrze więc, tego wieczora rozmówimy się...ale ostrzegam zawczasu, że to wszystko na nic się nie przyda.

FRYDERYK.

Ah mój Boże! już południe! (n. s.) A pani Hrabina kazała mi być u Kommissarza. (głośno) Przebaczcie mi, że się oddalam, Hrabina na mnie czeka, przyrzekłem...

ŁUKASZ.

Idź pan, idź do Hrabiny; lepiej mu przy-

stoi, jak umizgać się do naszych dziewcząt wiejskich...

FRANCISZEK.

Dobrze mówisz, my nie pójdziemy do żadnej Hrabiny.

FRYDERYK. *(do Heleny)*

Żegnam cię moja piękna, obowiązek wzywa mię bo pani...

HELENA.

Obowiązek?

FRYDERYK.

Obowiązek grzeczności. Będę jej towarzyszył do zamku. Nie mogę tego odmówić, prosiła mnie usilnie...lecz bądź pewna, że gdy odchodzącemu zbywa na siłach, dla powracającego miłość skrzydeł swych użyczy.

SCENA VI.

POPZEDZAJĄCY, bez FRYDERYKA.

FRANCISZEK.

No i cóż panno Heleno, on odchodzi.

HELENA.

Cóż ci do tego?

FRANCISZEK.

Gdy tym czasem Łukasz nie odchodzi, zostaje

ŁUKASZ. (*do Heleny*)

Widać że temu jegomości miliej widzieć się z Hrabinią, jak zostać z tobą, bo co ja, to żeby mię nawet...eh!..

S T A N I S Ł A W.

Prawdę mówi, Łukasz, prawdę.

H E L E N A.

Chcecie mię rozgniewać, obudzić zazdrość, ale na próżno.

Ł U K A S Z.

O nie, wcale nie pauno Heleno, ja tego nie chcę; ja tylko chciałem cię przekonać i przypomnieć, że Łukasz nigdy dla nikogo od ciebie się nie oddalił, bo Łukaszowi, zdaje się, że żadna księżniczka, żadna królowa, żadna hrabina na świecie, nie może iść z tobą w porównanie...

S T A N I S Ł A W.

Wszystkich tych zamieszkań przyczyną ten przeklęty p. Fryderyk.

F R A N C I S Z E K. (*cicho*)

Ja nie nie mówię, ale mam pewną myśl...

S T A N I S Ł A W.

Szatan go tu sprowadził do zamku, i potrze-

ba było na moje nieszczęście, żeby mówił z Heleną.

H E L E N A.

Bo nikogo nie znalazł w całej wsi, ktoby go mógł zrozumieć i pomówić z nim.

S T A N I S Ł A W.

Otóż piękne słówka stolicy! Cóż to, czy my po turecku gadamy?

H E L E N A.

Ah! proszę... chcę zostać samą... oddać się na chwilę napływowi myśli! (*siada w altanie i czyta*)

FRANCISZEK. (*biorąc Łukasza i Stanisława na stronę*)

Powiadam wam, że ja tego pana Fryderyka mam w podejrzeniu, i że dziś jeszcze wiedzieć będę—czem on jest prawdziwie. Pójdźcie do mnie, przy butelce opowiem wam mój zamiar.

S T A N I S Ł A W.

Idźmy więc.

ŁUKASZ. (*n. s.*)

Oj. Panno Heleno!..gdybyś wiedziała!..

S T A N I S Ł A W,

Pójdźmy.

SCENA VII.

HELENA: *(sama, wychodzi z altany)*

Odechdzą, zostawiają mnie samą. Jakąż trwo-
gę ich mowa w mojem sercu ohudziła,.. jestże
przewinieniem, że tak obojętnie przyjmuję te-
go poczciwego Łukasza?..Biedny, on mię tak
kochał, przyjaciel moich dni dziecinnych, to-
warzysz wszystkich zabaw, - igraszek... Rzecz
dziwna, że wtenczas właśnie kiedy chcę o nim
zupelnie zapomnieć..*(śpiewa)*

SPIEW, NRO 7.

O nim jeszcze!

Mile wspomnienia młodości,
W mojej go stawia pamięci.

A nawet pomimo chęci,

Myśl Łukaszem ciągle pieszczę,
Jak celem pierwszej miłości,

O nim jeszcze.

Tak o nim myślę jeszcze!

(siada w altanie i czyta)

SCENA VIII.

HELENA, HRABINA, FRYDERYK.

H R A B I N A.

Bardzo piękny domek, jaka miła prostota go
ozdabia. Mieszkanie w nim godne zazdrości.

FRYDERYK.

To właśnie ten dom, do którego kommissarz chciał panią zaprosić, abyś spoczęła chwilę.

H R A B I N A.

Mówił mi, że należy...

FRYDERYK. (n. s.)

Ah! mój Boże! żeby jej się tylko nie zachciało wejść do niego? (głośno) Do pewnego opzłego dzierzawcy, bardzo bogatego...

H R A B I N A.

Pragnęłabym z duszy...

FRYDERYK. (n. s.)

Oj! oj! (głośno) Ale bardzo niegrzecznego... Nie życzyłbym pani tu się zatrzymywać.

H R A B I N A.

Któż jest ta młoda osoba?

FRYDERYK. (n. s., postrzegłszy Helenę)

Tam do diabła! a to przyjemne położenie? no, jeżeli teraz wybrnę... oj, lokajstwo zgubi mnie!..

H E L E N A.

Nie myślę się... Zofja... Zofja!

H R A B I N A.

Helena!..

H E L E N A.

Ah! droga przyjaciółko!

H R A B I N A.

Luba Heleno!.. Jakimże przypadkiem?

HELENA. (*zmiészana*)

Mieszkam w tej wsi... (*n. s.*) Ah żeby nie-
chciała...

H R A B I N A.

Ah! to wybornie... właśnie chciałam spo-
cząć. (*zdejmuje szal i daje Fryderykowi*) Fry-
deryku! trzymaj!

FRYDERYK. (*udając grzecznisia*)

Co pani?.. ah bardzo chętnie. (*n. s.*) Staraj-
my się nie mieć postaci zapłaconego sługi.

HELENA. (*zdzuwiona, d. s.*)

Co za poufalość!..

H R A B I N A.

Jestem twoją sąsiadką, mieszkam w pobliz-
kim pałacu, który niedawno mój mąż nabył.

H E L E N A.

Jesteś tedy już zamężna?

H R A B I N A.

Tak jest, hrabiemu Mirosławowi, sądziłam
że wiesz o tém... (*zdejmuje kapelusz i oddaje
go Fryderykowi*) Weź...

F R Y D E R Y K.

Z rozkószą, jeżeli pani brabina ma jeszcze

co na sobie, co jej przykrość sprawia... chętnie ją od tego uwolnię...

HRABINA. (*nieco zdziwiona*)

Proszę, co za grzeczność, jaki ton!.. (*do Heleny*) A ty Heleno, zapewne także już jesteś zamężną?

HELENA. (*zmieszana*)

Nie... jeszcze... dotychczas... (*n. s.*) Oh! co za nieszczęśliwe spotkanie!

H R A B I N A.

Prześliczna altana... przechodząc przed chwilą tędy, nie uważałam jej!

H E L E N A.

Tu... zajmuję się czytaniem, muzyką.

FRYDERYK. (*n. s.*)

Ona widzę nie myśli odejść, a mnie cała odwaga już opuszcza.

H R A B I N A.

Wszystko tu oddycha wydoskonalonym gustem!.. (*opuszcza chustkę*) Fryderyku! podaj mi chusikę. (*idzie do altany, Fryderyk podejmuje chustkę i zanosz hrabinie*)

F R Y D E R Y K.

Jak najchętniej... jestem cały na usługi pani

hrabiny. (*cicho do Heleny, przechodząc koło niej*) Zbyt wymagającą!.. czasami nawet oryginalną jest ta dobra Hrabina!..

HRABINA. (*w altanie*)

Twoja altana bardzo mi się podoba, ten przyjemny chłód... (*przegląda książki*)

FRYDERYK. (*do Heleny*)

Ah! ileż przenoszę!..

HELENA.

Zkądże ta uprzedzająca grzeczność dla hrabiny?

FRYDERYK.

Widzisz, nawyknięcie dobrych towarzystw... wiedz bowiem... że między ludźmi naszego rodzaju, jest wiele nieodzownych obowiązków... które grzeczność nakazuje... a ja, jestem prawdziwym sługą... towarzystwa i dobrego tonu. (*bawiąc się z szalem i kapeluszem hrabiny*) A potem ja lubię te drobnostki!.. te tuliki... kokardki... to prześliczne!.. to mię bardzo bawi! (*n. s.*) Czelności, kłamstwo! ratujcie mię!

HRABINA. (*w altanie*)

Połączyłaś tu wszystko, co tylko bawic i zajmować zdoła.

HELENA. (*cicho do Fryderyka*)

Nie wierzę twoim przyrzeczeniom!

FRYDERYK.

A mojaż miłość?

HELENA.

Powinnabym o niej zapomnieć.

FRYDERYK.

Oczy twoje zaprzeczają mojemu, podaj mi twoją rękę, niech ją okryję najgorętszym pocałowaniem. (*całuje*). Wygrałem. (*głośno*) Bo widzisz Heleno, człowiek jak ja...

HRABINA. (*w altanie*)

Fryderyku, idź do zamku, niech powóz za godzinę tu przyjedzie.

FRYDERYK.

Za godzinę, dobrze.

HELENA.

Smiałość zbyt uczynna, dla czegoż jej ulegasz! podobne rozkazy wykonywać!..

FRYDERYK.

Gdybyś była na mojem miejscu, toż samobyś uczyniła. (*wychodzi*)

SCENA IX.

HRABINA, HELENA.

HRABINA,

Czy długo tu bawić zamysłasz?

HELENA.

Na niejaki czas, przez piękną porę roku.

HRABINA,

Ja zostanę na wsi aż do końca jesieni...
Mówią że tego roku będą świetne bale w Warszawie, żadnego nie opuszczę, a ty?

HELENA.

Nie wiem jeszcze. (n. s.) Boże! jak przykre położenie!

HRABINA,

Nie wiesz jeszcze? przecież jesteś wielbielką tańca; na pensji taniec był najmiłą twoją zabawą... Gdzież będziesz mieszkać w Warszawie, będziemy się widywać; czasem jest tyle godzin do stracenia, że miło przepędzić je w towarzystwie dawnych przyjaciółek.

HELENA.

Gdzie będę mieszkać?.. (n. s.) Ah! co za męczarnie!

HRABINA.

Przypominam sobie, mówiłaś mi jeszcze na pensji, że twój wuj utrzymuje się z dochodów swoich włości, i że całą zimą w Warszawie przepędza.

HELENA. (*zmieszana*)

Tak... w istocie... mój wuj posiada znaczny majątek... Ja nawet sama jestem bogatą dziewczką... (*n. s.*) Ah! żeby jak najprędzej z tą poszła.

SCENA X.

TEŻ SAME I STANISŁAW.

S T A N I S Ł A W.

Moja Helena, z jakąś damą!

H E L E N A.

Ah! (*n. s.*) Mój wuj... w kamizelce!..

H R A B I N A.

Cóż ci to?

H E L E N A.

Nic... nic... (*do Stanisława*) Pani hrabina Mirosławowa, moja przyjaciółka z pensji.

STANISŁAW. (*Kłaniając się hrabinie*)

Jaśnie Wielmożna pani... wielki dla nas zaszczyt... witamy was...

HELENA. (*cicho do Stanisława*)

Dla nas... witamy was!.. jak też mówisz mój wuju!..

S T A N I S Ł A W.

Jak?... cóżto... nie rozumiesz?.. po polsku.

H R A B I N A .

Któż jest ten człowiek?

HELENA. (*zmieszana*)

Jest to... poczciwy dzierżawca, mieszkający w tym domu. (*oburzenie Stanisława*)

H R A B I N A .

Twoi rodzice, czy także bawią na wsi?

H E L E N A .

Moi rodzice?.. Chcesz raczej mówić moi bracia, siostry?.. Nie, jestem sama, z tym. (*pokazując Stanisława*)

STANISŁAW. (*n. s.*)

Co! ona lęka się powiedzieć, że jestem jej krewnym?.. (*głośno do Heleny*) A więc! moje dziecię...

H R A B I N A .

Nazywa cię swoim dziecięciem... Widać że ten dobry człowiek bardzo cię lubi.

H E L E N A .

O... tak... zna mnie od dziecka...

STANISŁAW. (*n. s.*)

Nie wiem co się to znaczy, ale moja siostrzenica... (*uważa ją pilnie*)

H R A B I N A .

Lubię bardzo sposób mówienia tych zacnych

ludzi, mówią oni zawsze z taką szczerotą, otwartością. Przyjemnie słyszeć z ust rolnika ten wyraz poufały, „moje dziecię.”

S T A N I S Ł A W.

Słusznie mówicie pani, bo chociaż rolnik nie jest waszym ojcem, ale was żywi...

H R A B I N A.

Nie zaprzeczam; gdyby nie praca wieśniaków, mieszkańcy miast byłiby godnemi litości. (*do Heleny*) Mam nadzieję, że mię odwiedzisz w zamku.

H E L E N A.

Najchętniej droga Zofjo!

H R A B I N A.

I ja korzystać będę z szczęśliwego spotkania.

S T A N I S Ł A W.

Pani... Jeżeli chcecie wejść, proszę, bardzo proszę. Poczciwe serce i szczerę przyjęcie, zawsze znajdziecie w tej chacie.

H R A B I N A. (*do Heleny*)

Więc razem mieszkaż?..

H E L E N A.

Tak jest... dla zdrowia kazano mi pić świeże mleko...

H R A B I N A.

Pozwól mi więc spocząć chwilę.

S T A N I S Ł A W.

Co za łaska, jaki zaszczyt... Wejdźcie pani, Helenka wam towarzyszyć będzie.

H E L E N A.

Ależ bo... urządzenie wewnętrzne wiejskiego domu...

H R A B I N A.

Dla mnie, która go nigdy nie widziałam, będzie nader przyjemnym.

H E L E N A. (n. s.)

Ah! ileż cierpię!

S T A N I S Ł A W.

Pokaż Helenko pani hrabinie obory, stodołę, drób, gołębie...

H R A B I N A.

Pójdźmy Heleuo... (odchodzą)

S C E N A XI.

STANISŁAW. (*sam, patrząc za Heleną, po chwili*)

Nie wiem, ale moja siostrzenica... oh! oh! oh! potrzebuje nauczki... Myślałem, że z własnego przekonania, pozbędzie się próżności, która nie małym jest błędem... Prawda, jeszcze to młode, da się poprawić... a potem bawiąc w Warszawie w pośród dziewcząt, wyższych nad nią

urodzeniem i stanem... Eh! gdzie też jej ojciec miał głowę... Powinność kazała mi dopełnić jego chęci, chociaż serce i rozum sprzeciwiały się temu. Helena była dobrą dzieckiem, póki widziała tylko wiejską zagrodę... a teraz. hę... to mi się nie podoba! Starajmy się jak najprędzej zwrócić młode serce na dobrą drogę, póki go zepsucie nie ogarnie.

SCENA XII.

STANISŁAW, HELENA.

HELENA. *(idzie do altany i wzięwszy rysunek ze stołu, chce się oddalić)*

STANISŁAW.

Po co tu przyszłaś?

HELENA.

Moja przyjaciółka widziała ten rysunek, a ponieważ teraz poznała widok, który mi za wzór służył...

STANISŁAW.

Posłuchaj no mię... przyjaciółka zaczeka cokolwiek; Heleno, powiedz mi, co tobie było przez cały czas, kiedy mówiłem...

HELENA.

Mnie? nie!..

STANISŁAW.

Do stu piorunów, przecież nie byłem ślepy.

Widziałem w tobie pomieszanie, jakąś przykrość...

H E L E N A.

Co za myśl!..

S T A N I S Ł A W.

Miałżebym ja..?

H E L E N A.

Ah!..

S T A N I S Ł A W.

Uważałem... że kilkakrotnie przed tą panią, którą nazywasz twoją szkolną przyjaciółką, zrezygnie starałaś się ukrywać prawdę...

H E L E N A.

Nie, bynajmniej...ale bo... moja przyjaciółka...(starając się odmienić rozmowę) Jest bardzo szczęśliwa...została Hrabinią...

S T A N I S Ł A W.

Aha! otóż mamy, szczęśliwa, ponieważ jest hrabinią...A ja ci powiadam, że gdybyś ty do mnie szczerze była przywiązana, nazywałabyś się także szczęśliwą, i cudzy los nie wzbudzałby w tobie zazdrości.

H E L E N A.

Ach! co mówisz wuju? Możeszli mnie obwiniać, o brak przywiązania ku tobie, kiedy ja codziennie ubolewam nad twojém przeznaczeniem...nad stanem, w którym los..

STANISŁAW.

Ubolewasz? proszę! cóż to mój stan? jestem rolnikiem, jestem tém, czém był mój brat, ojciec, pradziad, owszem chlubię się z mojego stanu; co, mam się wstydzic tego; że za pługiem chodzę? Oh! może nie jeden z tych, którzy stolicę zamieszkują, gdyby gorzetelnie osądzono, nie wart dotknąć się tego narzędzia!

HELENA.

Mój Boże! wiem dobrze, że mój ojciec był wieśniakiem, czy tam dzierżawcą; i dla tego przez pamięć na niego, chciałabym, ażebyś...

STANISŁAW. (*przerywając głośnym uśmiechem*)

Ab, ha! ha! Przez pamięć na niego...ha, ha! cóż to żartujesz z nas?..Możebyś ty chciała, żebym został modnym panem, starostą, ha! ha!

SPIEW, NRO 8.

Nie przeczę, piękne tytuły,

Jaśnie pana, lub starosty,

Gdy plon nie wesprze szkatuły,

Ah! jakież u panów posty.

Próżność cię zaślepią widzę,
Świat cały stoi rolnikiem,
I tym najbardziej się brzydze,
Kto dla niego niewdzięcznikiem!

Gdy nieszczęście z Boga woli,
Trudy zostawi bez plonu,
Pan chłopka rzuca w niedoli,
A on pracuje do zgonu.

Tak, tak, powinnaś się chlubić, że jesteś
córką poczciwego wieśniaka.

HELENA.

Wieśniaka, wieśniaka! kochany wuju, czy
postanowiłeś udrećzać mnie?

STANISŁAW.

Jakto, Heleno, wspomnienie twojego ojca
cię udrećcza. Ha, więc to było prawdą, żeś się
wstydzila twojego wuja?

HELENA.

Mógłżebyś mniemać...

STANISŁAW.

Tak, uważałem, że w rozmowie z panią bra-
liną, strzegłaś się pilnie nazwać mię swoim
wujem.

HELENA. (*wzruszona*)

Oh! mylisz się...przysięgam, że cię kocham
zawsze.

S T A N I S Ł A W.

Dobrze więc! dowiedziesz mi tego, odpowiadając szczerze na zapytanie, jakie ci uczynię...Dla czego odrzucasz rękę Łukasza; jego rodzina znana z uczciwości, jego majątek równy twojemu, czyż dla jednego nieznanego przybysza, złamiesz dane mu przyrzeczenie?

H E L E N A.

Ponieważ ten przybysz, podoba mi się, a Łukasz...

S T A N I S Ł A W.

Przestał ci się podobać...(*tkliwie*) Heleno, gdybym ci wystawił niebezpieczeństwo, na jakie naraża się kobieta, chcąc zaślubić człowieka, którego nie zna? gdybym cię prosił, ażebyś wróciła do pierwszego twojego kochanka, gdybym nakoniec dowiódł ci, że tu idzie o szczęście nas obojga...Cóżbyś mi odpowiedziała?

H E L E N A.

Odpowiedziałabym, że lubię Łukasza, bo

jest uczciwym, ale nie mogę zostać jego żoną, bo moje wychowanie, nadaje mi prawa...

S T A N I S Ł A W.

Eh! do kroćset! gdybym się nie wstrzymywał!..Było też po co wysyłać ją do Warszawy, aby wyjechawszy ztąd, skromną, uległą, miłą, powróciła pełna próżności, zuchwalstwa, dumy...

H E L E N A.

Ale upewniam cię kochany wuju...

S T A N I S Ł A W.

Dosyć tego, ani słowa więcej! gdzie prawdziwe przywiązanie w pogardzie, tam złe serce być musi. Teraz ja nawet nie pozwoliłbym, aby Łukasz został twoim mężem. Byłby nieszczęśliwym z taką żoną.

H E L E N A.

Mój wuju!

S T A N I S Ł A W.

Tak, dziś nawet dam ci pozwolenie zaślubić Fryderyka.

H E L E N A.

Czy być może?!

STANISŁAW. (*groźno*)

Teraz oddał się.

HELENA

Jestem posłuszną...*(odchodzi do chaty)*

SCENA XIII.

STANISŁAW (później) ŁUKASZ, FRANCISZEK.

STANISŁAW.

Tak, dam jej pozwolenie, ale z warunkiem, który jeżeli przyjmie...o nie, myślę, że tego nie uczyni.

ŁUKASZ i FRANCISZEK. *(przybiegając)*

Ah! panie Stanisławie! panie Stanisławie!

STANISŁAW.

No i cóż tam?..cóż nowego?

ŁUKASZ.

Ah! przenajlepsza nowina!

FRANCISZEK.

Tak, tak, tęga nowina..

ŁUKASZ.

Zobaczycie panie Stanisławie!..

STANISŁAW.

Ale mówcież...

ŁUKASZ.

Ten jegomość, co tak nosa zadziera, co wszystkich ma za nic...

FRANCISZEK.

A jednakże tak pannie Helence się podobal...

S T A N I S Ł A W.

No i cóż?..

Ł U K A S Z.

Którego nade mnie przeniosła.

F R A N C I S Z E K.

Rzecz dziwna, takiego osta...

Ł U K A S Z.

Jest tylko...

S T A N I S Ł A W.

Czémże, powiedzcie raz?

Ł U K A S Z I F R A N C I S Z E K.

Lokajem.

S T A N I S Ł A W.

Co słyszę?

Ł U K A S Z.

Tak jest, tak!.. lokaj pani hrabiny, ani mniej, ani więcej.

S T A N I S Ł A W.

Możeż to być!..

F R A N C I S Z E K.

Dowiedzieliśmy się o tém w zamku.

Ł U K A S Z.

I natychmiast idziemy z tą wiadomością do Helenki.

S T A N I S Ł A W.

Nie, zabraniam wam! to pomieszałoby moje zamiary. Słuchaj Łukaszu, zanieś ten papier mojej siostrzenicy.

ŁUKASZ.

A cóż tam jest?

STANISŁAW.

Moje pozwolenie, aby poszła za Fryderyka.

ŁUKASZ.

I ja mam go zanieść, ani myślę.

FRANCISZEK.

Ale bierz...Ojciec Stanisław, ma więcej rozumu, jak my we dwóch; on głupstwa nie zrobi, a jeżeli ci każe ten papier zanieść, wiadać że się w tém coś święci.

ŁUKASZ.

No niechże i tak będzie. (*bierze papier i ogląda go*)

STANISŁAW.

Teraz dajcie mi słowo; że nie wspomniecie nie o tém, czegoście się dowiedzieli o Fryderyku.

ŁUKASZ.

Jakto! nie trzeba jej tego powiedzieć że on jest lokajem?

STANISŁAW.

Zabraniam wam jak najsurowiej, i powtarzam że chcę od was przysięgi.

ŁUKASZ I FRANCISZEK.

Przysięgamy, że jej nie powiemy.

S T A N I S Ł A W.

Dobrze. Przyszłą tu wam natychmiast Helenę. *(odchodzi)*

SCENA XIV.

ŁUKASZ, FRANCISZEK.

Ł U K A S Z.

Powiedz że mi, dla czego on tak...do czego się stosuje.

F R A N C I S Z E K.

Bah! kiedyś be głupi! dla czego, dla czego?.. bo widać, że tak trzeba, ma w tem swoje przy- czyny...a potem on, on jest opiekunem, rozumiesz...opiekunem Heleny...to nietak, jak ty, albo ja!..

Ł U K A S Z.

Opiekunem? już tyle razy slyszalem o tym opiekunie, a niewiem...

F R A N C I S Z E K.

Co jest opiekun?

Ł U K A S Z.

Ehę? to jest?..

F R A N C I S Z E K.

Nie wiesz więc co to jest opiekun?..

Ł U K A S Z.

Nie..

F R A N C I S Z E K.

Ah jej! jaki też ty głupi!..niewie co opiekun. Opiekun, opiekun, mój kochany, widzisz jest to człowiek...który jest jak ojcem, ale który nie jest ojcem, widzisz bo...jest to człowiek, który ma dzieci. ale te dzieci nie są jego dziećmi; gdy są w młodym wieku, i gdy im ojciec pomrze, familja się zbiera, wybierają jednego opiekunem, ten dogląda ich majątku, aż dopóki do lat nie dojdą; a gdy do lat dojdą, wołają opiekuna: »Słuchaj no wasan, opiekunie, mówią mu temu opiekunowi; »oto są twoje dzieci, które już dorosły i mają lata, trzeba im zdać porachunek.« Są niektórzy co nie chcą tego uczynić...ale nic nie pomoże, muszą zdać...

Ł U K A S Z.

Cicho, cicho...Helena..

F R A N C I S Z E K.

Sprawże się dobrze. (*stawa na stronie*)

S C E N A X V.

POPZEDZAJĄCY, HELENA:

HELENA. (*sądząc, że sama*)

Mój wuj rozniewany!..co mówię, obrażo-

ny...do głębi duszy, i przezemnie. Taką wdzięczność za jego dobrodziejstwa...kiedy mówił, że Łukasz ma oddać mi jakiś papier, nie patrzył na mnie! Ah! Izy mimowolnie wydobły się z moich oczu.

FRANCISZEK. (*do Łukasza*)

Czy słyszysz?

ŁUKASZ.

Słyszę, trzeba jednak oddać jej ten papier.

FRANCISZEK.

Czekaj!.. należy ją do tego przygotować z wolna i tagodnie, żeby jakoś nie było jej bardzo przykro...(*zbliżając się raptownie*) Helenko, Łukasz ma ci oddać pozwolenie wuja, abyś poszła za pana Fryderyka!..

ŁUKASZ. (*oddając*)

Oto jest, panno Heleno!

HELENA. (*otwierając list*)

Boże! jakaż mię trwoga przejmuje!

FRANCISZEK. (*cicho do Łukasza*)

Widzisz...jaka ma słabą minę...

HELENA. (*czytając*)

C widzę!..Mój wuj pozwala mi zaślubić Fryderyka, pod warunkiem, abym opuściła natych-

miast dom jego i wioskę. Nie chce mię widzieć
więcej, wielki Boże! Ja, mam go opuścić!

ŁUKASZ.

No i cóż panno Heleno, cóż mamy odpo-
wiedzieć panu Stanisławowi!

HELENA.

Dowiecie się natychmiast. (*idzie do altany
i pisze*)

FRANCISZEK. (*do Łukasza*)

Widzisz, będzie przepisywała wiersze.

HELENA. (*pisząc*)

Już czas, ażeby dusza moja pozbyła się bę-
du. Pewna jestem, że przebłagam wuja mo-
jem postanowieniem. (*napisawszy list*, Fran-
ciszkę, bądź tak dobry, oddaj ten list panu
Fryderykowi.

FRANCISZEK.

Jak najchętniej moja Helenko.

ŁUKASZ.

Nie możnaby wiedzieć...

HELENA.

Co w sobie zawiera? Powiem ci proszę go,
aby się wyrzekł mojej ręki; to jest odpowiedź
na zezwolenie mojego wuja!

ŁUKASZ. (*uradowany*)

Jakto! możeż to być! jakżem szczęśliwy!

FRANCISZEK.

To bardzo pięknie, Helenko!..Lece do zamku, i wrócę natychmiast. Chcę być świadkiem, jak nasz pan Stanisław cieszyć się będzie... Oj ten dumny, napyrzony pan, odebrawszy wiersze, pewno nos na kwintę spuści. (*wybiega*)

SCENA XVI.

HELENA, ŁUKASZ,

ŁUKASZ.

Prawdaż to panno Heleno, jeszcze temu wierzyć nie mogę.

HELENA.

Tak, chcę zerwać wszystko z panem Fryderykiem, aby się pojednać z moim wujem... Łukasz, ja myślę, że podobna ofiara, powinna być dostatecznym dowodem...

ŁUKASZ. (*z radością*)

Oh! to dobrze, bardzo dobrze, (*po chwili nie śmiało*) Panno Heleno, dawniej mię kochałaś. Myślałem, że i teraz nie będę ci nie miłym, przecię nie jestem głupszy, ni brzydszy, jak w ówczas byłem...

HELENA.

Któż ci mówi o tem?

ŁUKASZ.

Więć powiedz mi panna dla czego ci się nie podobam? Czyż dla tego, że nie mam edukacji, że nie mówię tak jak panowie mówią. Gdybyś ty panno Heleno chciała... nauczyłaabyś mię... Ah! jakżebym chętnie słuchał twoich lekcji, i jakby ci przyjemnie było, gdybyś mogła powiedzieć sama sobie... Nie prawie nie umiał, ja go uczyłam, wszystko co umie, mnie winien, jakie mi będzie wdzięczny za to. Oh tak... byłbym jej wdzięcznym całe życie! Między takim nauczycielem, i takim uczniem, prędko idzie nauka, a przynajmniej na tembył się skończyło, że ujrzałaabyś w biednym Łukaszu, który cię z całej duszy kocha, przyjaciela godnego ciebie, i uszczęśliwiłabyś tego dobrego Stanisława, który w tobie całą ma pociechę.

HELENA. (r. s.)

Pomimowolnie wzrusza mię jego prostota. (głośno) Łukaszu, nigdy nie byłeś tak wymownym!..

ŁUKASZ.

Bo nie śmiałem, bo panna nie pozwoliłaś mówić ze zębami..

HELENA. *(po chwili)*

Dobrze więc, zobaczymy.

ŁUKASZ. *(ze smutkiem)*

Zobaczymy, czy to wszystko co mi masz powiedzieć?

HELENA.

Tak, później... teraz pójdę do mojego wuja, z nim się naprzód pojednam; sama myśl, że go obraziłam...

ŁUKASZ.

Dobrze uczynisz panno Heleno... Gdybyś chciała, poszedłbym go przygotować do tego, nie mówiąc mu jednak, żeś ty mi to zleciła.

HELENA.

Ah! idź, idź... proszę cię.

ŁUKASZ.

Jak ten dobry Stanisław będzie szczęśliwy!

HELENA.

Dowiodę mu mojego przywiązania, przekonam się, że chociaż próżność zaślepiła mię na chwilę, serce nie miało w tym udziału.

(Łukasz odchodzi)

SCENA XVII.

HELENA, FRYDERYK.

FRYDERYK. *(n. s., wszedłszy głębiej)*

Przedziwnie, sama.

HELENA. (*sposstrzega Fryderyka*)

Ah!.. to pan, panie Fryderyku!

FRYDERYK. (*trzymając list Heleny, z przesadą*)

Heleno! Heleno! byćże to może! twojaż to ręka, (*z mocą*) wyryła te okropne wyrazy, każdy z nich sto śmierci przynajmniej w sobie zawiera. Nie, ty cofniesz ten wyrok mściwy...

H E L E N A.

Powtarzam panu, że stale postanowiłam, nie widzieć cię więcej.

F R Y D E R Y K.

Przynajmniej powiedz przyczynę.

H E L E N A.

Proszę oszczędzić mi przykrości.

F R Y D E R Y K.

Oh! domyślałam się!.. pewno z powodu hrabiny?.. Nie będę się usprawiedliwiać! Prawda, że mam dla niej największe względy!.. że jestem dla niej życzliwy!.. że ta życzliwość posuwa się nawet aż do głębokiego uszanowania, ale jednak nie dalej... i gdybyś wiedziała... mój los od niej zawisł...

H E L E N A.

Nie idzie tu bynajmniej...

F R Y D E R Y K.

Ale przysięgam ci!.. Jeżeli jej kiedy choć jedno słówko powiedział o miłości, niech mnie

djabli porwa!.. Ah! przebacz!.. musiałem użyć przekleństwa... A prócz tego, pani hrabina nie ścierpałaby! Oh tak! nie znasz jej wcale!..
(z rozpaczą) Heleno! błagam cię, nie zadawaj mi śmierci.

H E L E N A.

Zostaw mnie pan, i racz zapomnieć o mnie zupełnie.

SCENA XVIII.

CIŻ, HRABINA, STANISŁAW, ŁUKASZ. (*wychodzą z chaty i zostają w głębi*)

F R Y D E R Y K.

Trzebaż dla zapewnienia cię o moich uczuciach, rzucić się do nóg twoich... o ty oddechu duszy mojej, ty fjołku, nie zwróciszże twojego spojrzenia...

H E L E N A.

Napróżno, nigdy mężem moim nie będziesz.

F R Y D E R Y K.

Lecz z kąd ta nagle zmiana, kochanek tak wierny, który cię uwielbia.

H E L E N A.

Mój wuj jest wszystkiem dla mnie, a ponieważ nie pozyskałeś jego względów, przeto i dla mnie obojętnym zostać powinienes.

STANISŁAW. (*ściskając ją*)

Ah! moja Helenko! tego się spodziewałem; byłem pewny, że nie poświęcisz przywiązania twojego ojca i twoich przyjaciół, jakimuś...

FRYDERYK. (*postrzegłszy wchodzącą hrabinę*)

Tam do diabła! pani hrabina!.. już po mnie!..

SCENA XIX I OSTATNIA.

CIŻ, HRABINA, FRANCISZEK. (*wchodzi z głębi, niosąc ubiór lokajski Fryderyka*)

FRANCISZEK. (*do Fryderyka, pokazując mu liberję*)

Panie Fryderyku, musi ci być zapewne gorąco... jeżeli chcesz zmienić suknię...

Ł U K A S Z.

I kapelusz. (*kładzie mu na głowę kapelusz*)

Tak... żebyś się nie zaziębił... pani hrabina ka-
zała cię przywołać.

H E L E N A.

Cóż to znaczy? o nieba!

HRABINA. (*zbliżając się naprzód*)

Że pan Fryderyk jest moim lokajem.

FRYDERYK. (*do Heleny*)

Tak jest, przez zbieg okoliczności, mam za-
szczyt zostawać w usługach pani hrabiny.

H R A B I N A.

Dosyć...

STANISŁAW. (*do Heleny*)

Jakto!.. nie wiedziałas?.. Ah! tem lepiej moje
dziecię, twój żal ma więcej wartości.

H E L E N A.

Mój wuju, ojcze!.. raczysze mi przebaczyć!..

S T A N I S Ł A W,

Przebaczam ci z duszy... Nie mówmy już o
tém.

Ł U K A S Z.

Panno Heleno, jakże ze mną będzie?

H E L E N A.

Łukaszu, oto moja ręka.

Ł U K A S Z.

Ah! jakżem szczęśliwy!

F R A N C I S Z E K.

I ja to samo...o Helenko!..o Łukaszku!..o mój
wuju!.. nie wiem jak wypowiedzieć to, co się
teraz w mojem sercu dzieje.

H R A B I N A.

Co do ciebie panie Fryderyku, radzęci, a-
byś na przyszłość załoty twoje ograniczył na
przedpokoju.

F R Y D E R Y K.

Tak trzeba będzie podobno uczynić, i na do-
wód... (*przywdziewając prędko liberjã*) oto zno-

wu jestem wliberji, i nie rumienię się; daj Boże! aby i inni równie jak ja, nie wstydzili się swojego stanu.

SPIEW, NRO 9.

HELENA I WSZYSCY.

Dumą zbytnie zaślepiona,
Wyznaję żem pobłądziła,
Obym z błędu poprawiona,
Wam także, mogła być miła.

F R Y D E R Y K.

Dumą zbytnie zaślepiony,
Wyznaję że pobłądziłem,
Obym z błędu poprawiony,
Wam także mógł stać się miłym.

K O N I E C.

KAWIARNIA.

KOMEDJO-OPERA

W JEDNYM AKCIE

ORYGINALNIE NAPISANA.

Muzyka, J.P. Kratzera.



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

W TEATRZE DAWNYM ROZMAITOŚCI

dnia 4 Stycznia 1830 r.

O S O B Y.

Pan KOSTEK	JP. <i>Niwiński.</i>
Pani KOSTKOWA, jego żona utrzymująca kawiarnię	JPa. <i>Werowska.</i>
KONCEPTOWICZ	JP. <i>Szymanowski.</i>
PUSTACKI	JP. <i>Majewski.</i>
LEFAUX	JP. <i>Panczykowski.</i>
TRÓJKIEWICZ	JP. <i>Jasiński.</i>
CHĘTKIEWICZ	JP. <i>Giżewski.</i>
ANIELA, jego żona	JPa. <i>Chojnacka.</i>
BASIA)	JPa. <i>Majewska.</i>
TERESIA) Kawiarki	JPa. <i>Rostkowska.</i>
RÓZIA)	JPa. <i>Żulińska.</i>
PIOTRUŚ, markier	JP. <i>Danielowicz.</i>
Dozorca.	JP. <i>Łojewski.</i>

(*Scena w Kawiarni.*)

KAWIARNIA,

SCENA I.

(Scena przedstawia wewnętrzne urządzenie kawiarni, w głębi kominek, przy którym bufet, na nim filiżanki, tace, szklanki, i t. p., stoliki i krzesła.)

TRÓJKIEWICZ. *(śpi w głębi na dwóch krzesłach)*

BASIA, TERESIA, RÓZIA. *(ostatnie stoją przed lustrami i kończą się ubierać)*

B A S I A.

Jam już gotowa.

T E R E S I A.

I ja też samo.

R Ó Z I A.

A ja zaraz będę.

B A S I A.

Że też ona zawsze najpóźniej kończy toaletę.

T E R E S I A.

Bo ją najpóźniej zaczyna; wszakże wiesz, że jej ulubiony najdłużej dziś w nocy siedział. My już dobrze spały, kiedy ona...

RÓZIA. *(sprzątajac)*

Nie prawda, on zaraz poszedł, tylko wypił czarną kawę. Tymczasem porzucmy lepiej sprzączki, i zabierzmy się do sprzątania. Pani tylko co nie widac, a tu jeszcze wszystko w takim nieporządku... Ale, ale; pan Chętkiewicz czy już wyszedł?

R Ó Z I A.

Eh, gdzie tam, śpi jak załity w małym gabincie. Czy też to prawda, że on ma żonę?

B A S I A.

Czy ma, czy nie ma, co nam do tego!

T E R E S I A.

Tak, nam nic... ale Rózia chciałaby, żeby nie miał żony.

R Ó Z I A.

Doprawdy? i któż wam powiedział?... miałabym też w kim się kochać? ja go nie cierpię.

B A S I A.

Co? ty go nie cierpisz?... przecież nie ma

twojego Teodorka, nie potrzebujesz więc prawdy ukrywać.

R O Z I A.

Eh, wybierając, przeniosłabym zawsze Chętkiewicza nad Teodora; chociaż bogaty, jednak go nie lubię. Samochwał, zdaje mu się, że piękniejszego mężczyzny nie ma w całym świecie, że wszystkie kobiety go kochają. Jak się ich kilku zejdzie, natychmiast zaczyna rozmowę o teatrze, sądzi, krytykuje, rozprawia o aktorach i aktorkach, nadaje prawa; przekonany, że jego zdanie, powinno być zdaniem całego świata, gdy tymczasem nawet wierny Lefaux, pijąc poncz przez Teodora zapłacony, uśmiecha się na boku, słysząc niedorzeczne jego rozprawy.

(gdy Różia mówi, Basia i Teresia sprzątały.)

B A S I A.

Prawda że głupi, na nieszczęście ma pieniądze; a więc zawsze znajdzie kogoś takiego, który pijąc i jedząc z nim razem, wymownie dowodzi, że kto jest bogaty, tem samem jest rozumny.

T E R E S I A.

No to już i czysto, teraz pani może sobie przyjść kiedy zechce.

R Ó Z I A.

Jeżeli nasz pan wrócił wczoraj wczesnie do domu, pewno nas pochwali; ale jeżeli się zabawił gdzie z kolegami, to chochyśmy stoliki tak poczyściły, żeby się przejrzyć w nich można było. pani przyszedłszy, pociągnie po nich palcem: »ach! jaki kurz jaki nieporządek, co za nieczystość! Oh! Boże! Boże! żeby ten nasz pan wiedział, co my za jego późne wracanie cierpiemy, pewno by zawsze wczesnie do domu przychodził.

BASIA. (*cokolwiek niespokojnie*)

Prawda, powinienby wczesniej powracać... Ale pan Trójkiewicz jak tam coś pomrukuje.

TRÓJKIEWICZ. (*we śnie*)

Dix et Valet... huit et roi... wygrałem...

T E R E S I A.

I we śnie gra jeszcze.

B A S I A.

No, już tego, za grzechy, mężem mieć bym nie chciała. Cały dzień gra, w nocy gra, nawet i we śnie gra, ..biedna byłaby żona!

T E R E S I A.

Eh, bo też głupstwo iść za mężem!..po co nam mężowie...tak jak teraz, szczęśliwe jesteśmy.

BASIA, RÓZIA,
Zapewne.

SPIEW, NR 1.

B A S I A.

Szczęśne jest kawierek życie,
Któż z nami równać się w stanie!
Choć służemy, jednak skrycie,
My jesteśmy wszystkie panie.

R Ó Z I A.

Nieznane nam są kłopoty,
A i ciężkiej służby praca,
Každy dzień jest dniem pustoty,
A gość miły przykrość skraca.

T E R E S I A.

Choć niedośpiem często nocy,
I doznamy gniewa miarki,
Przy ładnych chłopców pomocy,
Szczęśnem jest życie kawiarki!

SCENA II.

TEŻ I PANI KOSTKOWA. (*w złym humorze*)

P. K O S T K O W A.

Już śpiewacie, już... a pewna jestem, że nie
posprzątane (*pociąga palcem po stole*) oh! jaki

kurz na stole!..jak nieporządnie!..Dalej żywo!..
już blisko siódma!..

RÓZIA. *(do Basi i Teresi)*

Aha! nasz pan znowu wczoraj późno przy-
szedł.

BASIA. *(zmieszana)*

Widać...

P. K O S T K O W A.

Czy długo goście siedzieli?

B A S I A.

Pan Chętkiewicz dopiero po drugiej godzinie
usnął na kanapie w gabinecie, a pan Trojkie-
wicz straciwszy w nim kompanję, zdrzymał
się tutaj.

P. K O S T K O W A.

Biedna żona!.. wistocie kiedy się zastanawiam
nad innemi kobietami, widzę, że jest wiele nie-
szczęśliwszych odemnie. Ja gniewam się, po-
wstaję na męża, kiedy się tylko spóźni z po-
wrotem...tu są inni, którzy całą noc przy kar-
tach spędzają...Mój poczciwy, czasem lubi się
zabawić; ale wiem, że mi jest wierny, bo chcąc
uniknąć wszelkich podejrzeń, nawet do ka-
wiarni nigdy nie zajrzy...Inbo z początku Ba-
sia...*(Teresia upuściła tacę)*

TRÓJKIEWICZ. (*przebudzony*)

Cóż tam?.. a niezgrabna!.. przebudzić mnie właśnie najpiękniejszym, biedy właśnie...za karę pozwól mi buziaka Tereniu. (*spostrzegając Kostkową*) Ah pani już wstała! dzień dobry!.. Dajcie no mi kawy dziewczęta, coś łąb po wczorajszym boli...Gdzież Chętkiewicz? bi edny, ostatniego dusia sztosik go pozabawił.

P. K O S T K O W A.

Czy i wczoraj szczęście służyło p. Trójkiewiczowi?

T R O J K I E W I C Z.

Tak...dosyc...Chętkiewicz podobno z swojej pensji nic żonie nie przyniesie...Dawajcież kawę.

T E R E S I A.

Już stoi na stole.

TROJKIEWICZ. (*pijąc*)

Ale też bo wczoraj...los zdawał się sam dla mnie ciągnąć karty, (*n. s.*) czyli raczej zaślepić Chętkiewicza. (*głośno*) Czy pozostałem wam dłużny dziewczęta. (*Teresia idzie do niego, powiada mu z cicha, on płaci*)

P. K O S T K O W A.

Nie cierpię tego człowieka, prawda, że wiel-

ki mam z niego dochód, przykro jednakże!..
Dopilnujcież tu wszystkiego, wychodzę do mia-
sta, wrócę, niebawem. Do widzenia panie Troj-
kiewicz, pewnego zastanę za powrotem?

T R O J K I E W I C Z.

Nie wiem, jeżeli kto z awatorów przyjdzie...
(*Kostkowa wychodzi*) Przecież poszła...Nudna
ta wasza pani!..nieprawdaż Roziuleczku?..przy-
kra służba, gdybyś chciała, mogłabyś ją po-
rzucić?

R Ó Z I A.

'Tak dobrze pan mówisz, gdybym chciała...

T R O J K I E W I C Z.

Zawsze ulegać cudzym kaprysom.

R Ó Z I A.

Eh! gdzie tam my ulegamy, pani swoje gada,
a my swoje robimy.

T R O J K I E W I C Z.

Bodaj to ja...słuchajcie dziewczęta...

SPIEW, NR 2.

Ten szuka łaski, urzędów,
U ministrów lub upanów,
By dochrapać się ich względów,
Nie szczędzi prośby, kubanów.

Ja siądę do Faraona)
i już fortuna zrobiona.) bis.

Ów pocziwiec z duszą, z ciałem,
Grosza nie widzi w kieszeni,
Prostą drogą biegnie czwałem,
Bieda przecieź się nie zmieni,
A ja pociągnę stosika,) bis
Kaźda karta dukat wmyka.)

Zgoła świat już teraz taki,
Pocziwością nic nie wskóra,
Uczciwi będą biedaki.

Przy wykrętach zwykle góra.
Karty wrękach, trochę sztuki,
Drwię z pocziwych i nauki,
To jest rozum, tak ja sądzę,
Co w zysku niesie pieniądze.

Tak, tak, moje dziewczęta, jestem zupełnie
szczęśliwy!

SCENA II.

CI SAMI, CHĘTKIEWICZ. (*ubiór w nietadzie*)

CHĘTKIEWICZ.

O tak, prawdę mówisz!..jesteś bardzo szczę-
śliwy! Wczoraj ograłeś mię!

TROJKIEWICZ.

Eh, co tam, nie myślmy o wczorajszym ko-

Tom XV.

19.

chasiu. Może pozwolisz? służę ci... *(wyjmuje karty)*

C H E ̧ T K I E W I C Z.

Nie, nie, jestem bez pieniędzy. A potem całą noc w domu nie byłem, co sobie żona pomyśli?

T R O ̧ J K I E W I C Z.

«Co sobie żona pomyśli!» ha! ha! ha! widać żeś się nie dawno ożenił, «co sobie żona pomyśli!» ah mój bracie, kłóždy zważał, aż na takie fraszki?.. No... gramy?

C H E ̧ T K I E W I C Z. *(nie mogąc się oprzeć, z widocznym wahaniem)*

Nie... nie... albo też... nie, nie, muszę iść.

T R O ̧ J K I E W I C Z.

No, pójdiesz za pięć minut... kilka kart pociągnij... kto wie, może dziś tobie szczęście służyć będzie.

C H E ̧ T K I E W I C Z. *(dobywając zegarek)*

Va... dalej... ciągnij... o zegarek w 12tu dukatach... przyjmiesz?

T R O ̧ J K I E W I C Z.

Ale czyż potrzeba?.. jednak kiedy chcesz koniecznie, w dowód mojej przyjaźni, że się nie obawiam podejścia z twojej strony, przyjmuję.

PIOTRUŚ. (*wchodząc rozespany, staje przed
Basią*)

Panno Basiu!.. panno Basiu!

BASIA. (*przybiegając*)

Czego?.. gadajże!..

PIOTRUŚ. (*poziwa*)

Zarsz... o czémże ja chciałem mówić?

B A S I A.

Nacóżeś mię wołał?

P I O T R U Ś.

Ale... (*poziwa*) to nie ja... to ten wysoki
stary, siwy pan, z czarnemi wąsami wołał pannę.

BASIA. (*wybiega*)

Idę...

PIOTRUŚ. (*poziwając*)

Ale... poszła?.. no... (*siada na krześle i drzy-
mie*)

SCENA IV.

CIŻ, LEFAUX, PUSTACKI. (*wchodzi, śpiewając*)

P U S T A C K I.

Dzień dobry, dawajcie kawy, śliczne dzie-
wczęta. Siadaj Lefaux. Jak się masz Teresiu?..
nasza Róża coś nie najlepiej wygląda.

L E F A U X.

Może się ne wispać... rozumie pan Teodor.

PUSTACKI. (*cicho do Lefaux*)

Oho! już Trójkiewicz ogołaca jakimś kieszonkiem, będzie kontent, kto mu się wysliznie. — (*siadają z przeciwnej strony grających, i piją kawę*)

BASIA. (*wracając*)

Głupi ten Piotruś, albo mu się przyśniło, nie widziałam żadnego pana z wąsami. (*budząc go*) Piotrusiu! Piotrusiu!

PIOTRUŚ. (*obudziwszy się, szuka po ziemi*)

Co? gdzie upadło?

B A S I A.

On tylko myśli, czy co nie upadło. Pocóżes mnie wołał? gdzież ten jegomość z wąsami?

P I O T R U Ś.

Ah! musiał już iść... (*poziwając*)

B A S I A.

Cóż ty masz w ręku?

P I O T R U Ś.

W ręku?.. ah prawda!.. wszakże mówiłem... ten jegomość z wąsami... wołał panny Basi... panna nie przyszła... chciał jej zapłacić...

B A S I A,

Za co?..

PIOTRUŚ. (*oddając pieniądze*)

A jużci... panna musisz najlepiej wiedzieć...

BASIA. (*spoglądając na pieniądze*)

Daj, daj śpiochu... A teraz idź do tego pokoju, tam nie ma nikogo.

PIOTRUŚ. (*odchodząc*)

Chwała Bogu... może też zdrzemię się, choć kwadransik. (*odchodzi*)

TRÓJKIEWICZ.

Król był z mojej strony, przegrałeś... więc mam ośm dukatów u ciebie.

L E F A U X.

Ecoutez... huit ducats... diable!..

P U S T A C K I.

Niech no on godzinkę z nim posiedzi, sześć razy tyle przegra... (*wstaje*) No i cóż moja Róziu, zapominasz o mnie, wiesz że zawsze z kawą fajkę palę; ale dziś podaj mi tylko ognia, bo mam przedoskonałe cygara, prawdziwe Hawańskie, przywieziono mi je cichaczem, może pozwolisz panie Lefaux?..

L E F A U X.

Badzo zękuję... nie jest amateur na fajka... sasem... tak... *mais le café est bon.*

P U S T A C K I.

Ale co to znaczy, że jeszcze naszego Konceptowicza nie widać?

L E F A U X.

Il viendra, prйдzie, prйдzie, certainement. (umizga się do Teresi) Comme tu est belle aujourd'hui... ładna sur mon honneur, ładna...

T E R E S I A.

Ej, czy bel, czy bal, daj mi pan pokój; kawa panu wystygnie. (n. s.) stary, a...

L E F A U X.

Eh ben, to nys ne skozi.

PUSTACKI. (z śmiechem)

Panie Lefaux, coś nie najlepiej przyjmuje cię Teresia, bodajto ja!..

L E F A U X.

Elle est bête, ale... Pan Teodor bil wcoraj na teatr.

P U S T A C K I.

Byłem, ale znudziłem się nie miłosiernie. taką starą sztukę grali. Nie chcą się przekonać, że stara sztuka dobrą być nie może!

L E F A U X.

En vérité, co stare to djabla wart. Ja bo bil na teatr, ale nie na sztukę... *regarder mais* grano balet: *Paris au mont Ida*, na góra. *Ida...* a ja bardzo lubi balet.

P U S T A C K I.

Czy w istocie Paryż wybudowany na górze *Ida*?

L E F A U X.

Mais, non, nie Paris, mais Paris, slowiek na góra Ida... o piękny balet... u mnie sztuk bez balet nigdy... jakto?.. vous le savez monsieur.

P U S T A C K I.

Wistocie...wesele jest nudne bez tańców, a ponieważ w każdej prawie komedji jest wesele, w każdej też i tańce być powinny. A prócz tego, ja wcale, na sztuki nie uważam, a nie uwierzysz z jaką łatwością je krytykuję.

L E F A U X.

To pan nie daje attention, *et j'ai cru*, ja sądził, kiedy pan tak daje bravo...raz pan nawet sykał...

P U S T A C K I.

To tak dla rozrywki...z nudów...a potem było coś do mnie podobnego...

L E F A U X.

Co podobnego...to pan źle robi...ja kiedy słiszy coś podobnego, to siedzi siko...żeby public nie poznał *un objet véritable*, a potem nie można, każdy rzesz brać sobie.

CHEŃKIEWICZ. (*rzuca karty, oddaje zegarek, i wstaje od stołu*)

Ah! niech piorun trzaśnie! żeby też tak być nieszczęśliwym!

TRÓJKIEWICZ. (*chowając zegarek*)

Prawda, że do mnie szła karta jak szalona!
(*n. s.*) O filówko, filowko! tobie ja wszystko
winienem. (*głośno*) Ale, może napijemy się
czego? (*spoztrzegając Pustackiego i Lefaux*)
▲h Pustacki, jak się masz panie Lefaux! *Com-*
mont vala santé?

P U S T A C K I.

Dzień dobry! dzień dobry! Zawsze szczęśli-
wy?

L E F A U X,

Bon jour.

T R Ó J K I E W I C Z.

Tak, dosyć, wygrałem do dwunastu duka-
tów...biedny Chętkiewicz!..

C H E T K I E W I C Z.

Bez pożałowań...bardzo proszę, wzięłeś co
twoje, więc milez.

P U S T A C K I.

Bardzo słusznie. (*kicha*)

L E F A U X.

Ah, bonne santé Mr. Pustacki.

P U S T A C K I.

Merci à Mr. Lafaux.

L E F A U X.

Il n'y a pas de quoi, il n'y a pas de quoi.

SCENA V.

PUSTACKI, LEFAUX, TRÓJKIEWICZ, CHETKIEWICZ, KONCEPTOWICZ, KAWIARKI. (w głębi)

KONCEPTOWICZ. (*wbiegając*)

Dzień dobry, dzień dobry. Jak się ma pan Teodor? cóż tam słychać na wielkim świecie? Czy Rózia jeszcze nie wypadła z pamięci?

P U S T A C K I.

No i cóż Rózia? albo co? zawsze głupst wa pleciesz, mój kochany Konceptowicz.

K O N C E P T O W I C Z.

No, no, nie gniewaj się, fundujesz kawę?

P U S T A C K I.

Zgoda, kawy filizankę...

LEFAUX. (*z. s.*)

Glupi, każdy traktuj...

P U S T A C K I.

Czy co mówiesz?..

L E F A U X:

Nic, nic, *mon cher ami*.

K O N C E P T O W I C Z.

Co widzę, Trójkiewicz już z Chętkiewiczem rozmawia, pewno słabo palsa biją u ostatniego w kieszeni, kiedy grać przestali.

TRÓJKIEWICZ.

Cóż tam o mnie gadasz? czy gramy?..może
w domino o poncz?

PUSTACKI.

Zgoda, grajmy.

LEFAUX.

Ale rano poncz...

KONCEPTOWICZ.

Cóż to szkodzi, poncz w każdym czasie,
dobry sprawia skutek, posłuchajcie:

SPIEW, NRO 3.

Sluchaj, kochany kolego,
Ponczyk lubi każdy stan,
Sporzji nawet na biednego,
Pałał szklanke, wielki pan.

Prawnik w wybiegi bogaty,
Dobréj sprawy gani szyk,
Lecz wnet znikną terapaty,
Gdy dasz ponczu tęgi tyk.

Trafi się także i chory,
Co lekarskich sluchał mów,
Rzucił zakaz i doktory,
Łyknał ponczu zaraz zdrów.

Miłość nawet, luby bracie,
Trwożna jak niewinność dam,
Stanie zaraz w innéj szacie,
Kiedy w głowie ponczyk mam.

Zgoła, w jakimkolwiek względzie,
Zawsze z pracą tę myśl łącz,
Że ci się powiedzie wszędzie,
Kiedy tylko zacznie poncz!

L E F A U X.

Eh ben, grajmi! (*siadają wszyscy do Do-
mina, Chętkiewicz, przysuwa się także do
stołu, biorąc kamienie*)

TRÓJKIEWICZ. (*postrzegłszy go*)

Ale my na gotówkę gramy.

CHĘTKIEWICZ. (*rozgniewany*)

Tak, tak na gotówkę...przeklęty szulerze.

T R O J K I E W I C Z.

Ale o co się gniewasz? ja nie do ciebie mó-
wiłem...

K O N C E P T O W I C Z.

Daj mu pokój...on się dziś nie wyspał...mu-
siał dopełniać służby Faraonowej.

CHĘTKIEWICZ. (*n. s.*)

Przekłęcie!

L E F A U X.

Eh ben, kto najstarsi...prosiemy...

P U S T A C K I.

Ja szóstkę wystawiam... (grają w domino)

KONCEPTOWICZ. *(do Trójkiewicza)*

Wyszostkujemy myciebie.

P U S T A C K I.

Co tam szepczecie?...czwórka i blanka...no dalej...bo ja...passe...

L E F A U X.

Dwa i sewórka...

SCENA VI.

FANI KOSTKOWA, ANIELA. *(zastłonią woa-
lem, wchodzą głębią)*

ANIELA. *(postrzegłszy Chętkiewicza)*

To on!..Boże!..

P. K O S T K O W A.

Droga Anielo, z zalem dopełniłam twojej prośby; osoby, które tu widzisz, są prawie domowe...wyjąwszy...

C H Ę T K I E W I C Z.

No, dalej, panowie, śpieszcie się, bo na mnie czas, muszę już iść.

ANIELA. *(n. s.)*

Tak, przypomniało mi się przecie!..niegodziwy całą noc!nie dosyć już dzień cały.

KOSTKOWA. (*do Anieli*)

Prawda, to jest rzecz oburzająca! jaby
zaraz poszła z moim mężem do rozwodu, że-
by jedną noc gdzieindziej przepędził. Na, co
się żeni? po co idziemy za mąż?

RÓZIA. (*do Basi i Teresi*)

Cóż one tam mówią?

TRÓJKIEWICZ.

Domino!

PUSTACKI. (*przejrzawszy kamienie innych
i swoje*)-

Do spółki przegraliśmy z panem Chętkiewi-
czem. Dajcie poncz!

KONCEPTOWICZ.

Ty Pustacki lubisz wszystko *en compagnie*,
i gdybyś wiedział jaką Chętkiewicz ma ładną
żonę...

CHETKIEWICZ.

Mości panie, bez żartów... Prosiemy o poncz!

RÓZIA. (*podając poncz, mówi z cicha do gra-
jących*)

Jakaś ładna pani uważa panów już od kil-
ku minut.

Tom XV.

20.

P U S T A C K I.

Ładna pani! może ją znam?

W S Z Y S C Y.

Gdzie? gdzie?

C H E T K I E W I C Z.

Moja żona!!

A N I E L A.

Nie, już od tej chwili nie jego żona! Uczciwy człowiek był moim mężem, ale szuler nim nie będzie. Tak, przekonać się tylko chciałam naocznie o niecném życiu W Pana, i na tém mi dosyć. Uczyniłeś mię nieszczęśliwą... będę miała dosyć odwagi zrzucić z siebie to jarzmo, i zerwać węzeł, który cierpienie moich stał się przyczyną. Teraz, oddaj się zupełnie twojej ulubionej zabawie, już mię więcej nie zobaczysz... *(do pani Kostkowej)* Pani, racz przebaczyć... *(tęży tamują jej mowę, odchodzi płacząc, Kostkowa ją wyprowadza)*

L E F A U X. *(do Chętkiewicza)*

Mais mon ami...

K O N C E P T O W. Z.

Trzymaj język za zębami.

T R O J K I E W I C Z.

Aż miło... otóż to żona... ożeń się teraz!

P U S T A C K I.

Ale ładna, dalibóg... *sacrehlen!*

K O N C E P T O W I C Z.

O co się gniewa! niech mię kaci porwą niewiem... mna na jej anięjscu, jeszczeby bardziej za to kochała swojego męża. Ale prawda, dopiero cztery tygodnie po ślubie!..

L E F. A U X.

Poncz będzie zimny!..

T R O J K I E W I C Z.

Dalej do ponczu!.. no Chetkiewicz!.. przecież jak cię żona opuści... świat dla tego stać będzie... i ty nie jesteś tak głupim, abys dla jednej kobiety, mógł o wszystkich zapomnieć.

K O N C E P T O W I C Z.

Dalibóg nie źle mówi.

C H E T K I E W I C Z.

Ha! cóż czynić!.. to i powrócę do bezżeństwa, w szklance rozpacz utopię.

K O N C E P T O W I C Z.

Nasza pan Kostkowa, bardzo się o to gniewać będzie!

C H E T K I E W I C Z. (*idzie za stół do Rózi*)

Róziu! Cóż ci się jeszcze należy odemnie, bo co się tycze ponczu, ten do połowy płaciemy z panem Teodorem. (*mówi z cicha do Rózi, płacąc jej*)

TRÓJKIEWICZ. (*do siebie*)

Ma jeszcze pieniądze!

KONCEPTOWICZ. (*do Pustackiego*)

Śluchaj, coś on bardzo blisko twojej Rózi, czyli czasem nie chce powetować straty żony? Zdaje mi się, żeby ci to bardzo nie miłym było. (*do Trójkiewicza*) On się do niej zaleca, a...

P U S T A C K I.

Mnie to bynajmniej nie obchodzi. (*z gniewem*) A panu nic do tego.

R Ó Z I A.

Ej proszę pana!..

C H E T K I E W I C Z.

Ale powiedziecie mi, co tu moją żonę przyprowadził?

T E R E S I A.

Przyszła z naszą panią.

(*za sceną kilka głosów*)

Róziu! cukru! Róziu!

P U S T A C K I. (*do siebie*)

Zawsze jej tylko wataja. (*głośno*) Do zobaczenia moi panowie, już po ósmej, a właśnie o wpół do dziewiątej mam być na umówioném miejscu, piękne oczy wzywają mnie do siebie. Zegnam panów moich. *A revoir*

mon cher Lefaux! (wychodząc. kłania się Rózi od ust, która postrzegłszy oddalającego się, Pustackiego, zatrzymała się nieco w głębi)

SCENA VII.

CIŻ, BEZ PUSTACKIEGO.

L E F A U X.

Wielki też głupi ten Teodor, pomimo to, że ma wiele pieniędzy.

KONCEPTOWICZ.

Prawda, że musi być wielki, kiedy ty się na nim poznałeś.

LEFAUX. (n. s.)

Bête! comme tu es. (głośno) Panie Kouseptowis, bardzo proszę; *ne mettez pas le doigt entre l'arbre et l'écorce*, nie...

KONCEPTOWICZ.

Ale nie mów po francuzku, bo dalibóg nie nie rozumiem.

T R Ó J K I E W I C Z.

A cóż Chętkiewicz, poncz pijem jeszcze?...
CHĘTKIEWICZ. (który zamysłony siedział)

Co, poncz?.. (z żalem) Dobrze!.. (n. s.) może mi spokojność przywróci.

KONCEPTOWICZ.

Dalibóg tak wyglądasz, jak ten, co ze dwa

miliony przegrał w procesie. Prawda... żona cię opuściła, ale jeszcze wielkie zapytanie, czy to wygrana, czy przegrana dla ciebie?

CHĘTKIEWICZ.

Dosyć tego mości panie, proszę poprzestać tych szyderskich uwag, wistocie byłbym prawdziwie pożałowania godny, gdybym się tyle poniżył, ażeby zostać celem niedowarzonych jego zarcików. (wychodzi do bocznego pokoju)

LEFAUX:

C'est bien dit, choć nie rozumi wszystko, mais il a eu un visage!.. (n. s.) c'est pour lui, dla niego.

TRÓJKIEWICZ.

Muszę dla ulagodzenia go, pospieszyć ze sztosem, ma jeszcze pieniądze, postarajmy się, żeby nie wyszedł z niemi.

SCENA VIII.

LEFAUX, KONCEPTOWICZ. (patrzą długo na siebie, nic nie mówiąc, Konceptowicz staje w komicznej postawie, właśnie, gdy Lefaux się ogląda, śmiać się zaczyna, co też potem i Lefaux czyni)

R A Z E M.

Ha! ha! ha! ha!

K O N C E P T O W I C Z.

Panie Lefaux, już po gniewie, ale bo ja tylko, żartowałem.

L E F A U X.

Je sais...mais, twoje żart są bardzo piquantes.

K O N C E P T O W I C Z. (*podając mu rękę*)

No, niech je tam...wierz mi, że to było bez myśli...ale, niespodziewałem się takiej czulości w panu Chętkiewiczu...bo gracz i dobry małżonek, są jak dwie równoodległe linie, które się nigdy z sobą nie schodzą. Czyliżby się wyrzekł gry? nie...nie podobna, Trójkiewicz poszedł za nim i prędzejby się usprawiedliwił, przed zazdrosną kobietą, jak wywikłał z sideł tego zręcznego człowieka. -Zł mi go jednakże...tak piękna, tak młoda żona...na honor, nie pojmuję, jak można dla malowanych dam, poświęcać majątek i zdrowie; kiedy ja wolalbym...

L E F A U X.

*Et moi j'aimerais mieux...*a potem ten Trójkiewicz, ja nie lubię ten sławiek...*il a un air d'un vaurien*, ma postać zły.

K O N C E P T O W I C Z.

On ma nie tylko postać, ale i duszę złego

człowieka, i pocziwie by ten uczynił, kto by się postarał żeby ten zbiór doskonałości rzadkich, wywieziono w miejsce jego rodzinne.

L E F A U X.

Im bardziej się zastanawiać nad Warszawą, *autant, je trouve moins de ressemblance*, mniej podobny do Paris...

KONCEPTOWICZ.

Mnie się przeciwnie wydaje, że ona bardzo podobna do Paryża; powiedz mi mój Lefaux, czy dawno jesteś w Warszawie?

L E F A U X.

Już półciecia rok, *mais*, ja psiklinaj ten moment, kiedy Paris opuścił...z początku ja miał dobrze, wszyscy moje *lecons* dobrze płacili, *mais a présent*, ja jestem *gouverneur* tylko za stół i stancji. Wasz naród nie umie *connaître de grands hommes*. Ja tu psijechał z jednym *Comte*, który się w Paryż ożenić...ale jak ten *Comte* umar, jego żona *est partie pour la campagne*; ja nie lubi wiesz...dla tego...

KONCEPTOWICZ.

Dla tego zostałeś w Warszawie, a potem kiedy w stolicy nie poznali się na tobie, na wsi,

jakby cię chłop niezrozumiał, nazwałby cię o-
słem.

L E F A U X,

Oui, oui, c'est vrai, prawda...ciemny naród,
żaden klop nie umie po fransusku.. Jednakże
j'avoue że to co wiział, *a larue*, w kawiarni...
jest tak jak u nas...ale inny rzecz...

KONCEPTOWICZ.

Amiedawno przeciwale mówieś...i inne te-
raz rzeczy możemy porównywać, ty znasz Pa-
ryż, ja Warszawę, zobaczymy więc...

L E F A U X.

*Nous verrons, peut être...*powiadaj, a ja ci
mówię tak, albo nie...

SPIEW, NR 4.

KONCEPTOWICZ.

W kochanej naszej Warszawie,
Młodych prześciga dziad stary,
Tak w miłości, jak w zabawie, -

L E F A U X.

Ah c'est tout comme à Paris

KONCEPTOWICZ.

Lichwiarze się u nas gnieźdzą,
Co biorą procent bez miary,
Karetami za to jeżdżą...

L E F A U X.

Ah c'est tout comme à Paris.

KONCEPLOWICZ.

Dobrze żonki rzadko w modzie,
Przyjmują obcych ofiary,
Cud spotkać małżeństwo wzgodzie,

L E F A U X.

Ah c'est tout comme à Paris.

KONCEPTOWICZ.

I nie jeden z mężów grona,
Szle kochance, liczne dary,
Kiedy w nędzy płacze żona.

L E F A U X.

Ah c'est tout comme à Paris.

KONCEPTOWICZ,

Cudzoziemiec gdy zawita,
Choćby kamerdyner stary,
Zaraz pan do dzieci chwyta,

LEFAUX. (z gniewem skrytym)

Ah c'est tout comme à Paris.

KONCEPTOWICZ.

Tak, tak, mój panie, tak u nas idzie, wszystko opacznie. My naprzykład panie Lefaux, gdyby los sprawiedliwie działał, czyliżbyśmy w tym stanie być powinni? Każdy z nas zaręcza w innąby piastował posadę.

L E F A U X.

C'est vrai, c'est vrai, słusnie, ale teraznej-sy ludzie, si peu connaissent de grands talens,

KONCEPTOWICZ.

O to prawda, tak mało znają się na talentach, że tym, którzyby znajwiększą dokładnością pojazd mogli otwierać, powierzają obowiązki guwernerów.

LEFAUX. (n. s.)

Diable... (głośno) *Ah en vérité* jest wiele nie kwalifikujących się...

KONCEPTOWICZ.

Ty panie Lefaux, wiesz o tem najlepiej...

L E F A U X.

Mais nie mówmy o tem... *cela me...* zaraz mię w humor idzie.

KONCEPTOWICZ. (n. s.)

Wierzę temu, kto od prawideł obuwia, do prawideł grammatyki przychodzi, ten nie chętnie prawdy słucha.

LEFAUX. (zmieniając rozmowę)

Basia, nie wie jaka godzina?

B A S I A.

Już po dziewiątej.

L E F A N X.

Ah mon Dieu, si tard, tak późno... .musi iść... do widzenia panie Konseptowisz. (*stychać chałas za sceną*) *Mais*, co znaci ten hałas... *je vais voir*. (odchodzi)

KONCEPTOWICZ.

Oj głupi, głupi!.. ale czemuż ja głupstwu złorzeczę! wszak w tym oświeconym wieku, głupstwo pierwsze trzyma miejsce, i ten tylko jeden przymiot liczy się na karb zasługi. Otóż znowu klótnia!..

SCENA IX.

PUSTACKI, TRÓJKIEWICZ, KONCEPTOWICZ,
CHĘTKIEWICZ. *(wchodzi rozgniewany na scenę, za nim z wolna postępuje Trójkiewicz)*

CHĘTKIEWICZ.

Oszukałeś mię niegodziwy graczu!.. mam świadków.

TROJKIEWICZ.

Ale uspokój się mój przyjacielu, któż znowu takie nedorzeczności mówić będzie?

CHĘTKIEWICZ.

Wszystko przegrałem!

TRÓJKIEWICZ.

Alboż to moja wina? Nie trzeba grać, to się nie przegra...

CHĘTKIEWICZ.

Niekzemny oszuscie!

TROJKIEWICZ.

Oszuscie, oszuscie... wiesz, o takie rzeczy mógłbym się rozgniewać...

KONCEPTOWICZ. (do Chętkiewicza)

Przyjacielu, próżny gniew po szkodzie...
kłótnia nic nie pomoże. Uspokój się, godzina
wzywa do pracy.

L E F A U X.

En vérité, ja nie rozumi, dla czego pan tak
zły... *qui a perdu, est perdu*.

T R Ó J K I E W I C Z.

Właśnie mu toż samo powiedziałem..

CHEŃTKIEWICZ. (rzucając się na krzesło)

O ja nieszczęśliwy!..

TRÓJKIEWICZ. (odchodząc, do siebie)

Teraz pewny jestem, że ani grosza nie ma
w kieszeni!

L E F A U X:

No panie Konseptowisz, adieu, *mam quel-
ques affaires* na miasta, ale wrócę nie długo,
bądź zdrów Basia, przyjdzie tu z pan Teodor.
(odchodzi)

KONCEPTOWICZ. (do Lefaux)

Bądź zdrów... (do Chętkiewicza) Nie namy-
ślaj się dłużej, posłuchaj rady przyjaciela,
pójdź...ja ci szczerze życzę.

CHEŃTKIEWICZ.

Ale mogęż w tym ubiorze?...gdzie pójść prze-

brać się, wstydzę się iść do domu. Moja żona!..o nie wątpij o jej przywiązaniu, przebaczy mi...ale jej ojciec, jeżeli się dowie o dzisiejszem zdarzeniu!..

KONCEPTOWICZ.

Ja nie daleko ztąd mieszkam, u mnie się przebierzesz.

CHEŃKIEWICZ.

Jednakże wrócimy tu jeszcze, muszę bowiem zaspokoić mój dług.

KONCEPTOWICZ.

Wrócimy, wrócimy. *(odchodzą)*

SCENA X.

BASIA, TERESIA, RÓZIA.

BASIA.

Jak się teraz przypatrzyłam, nic nie warto iść za męż. Szczęście, powiadają, szczęście nie zostać panną. Wielkie mi szczęście, dostać takiego gracza, który po całych nocach siedzi przy kartach.

TERESIA.

Oj gdyby nasza pani miała takiego męża, za żadne pieniądze, nie chciałabym służyć u niej.

R Ó Z I A.

Eh nasz pan Kostek, flegmatyk, do niczego...włóczy się jak nieboszczyk; przyjdzie tu czasem, weźmie gazetę i ciągnie się na powiód. Nie wiem, co tam w nim pani upatrzyła, ale ja dalibóg nigdybym za niego nie poszła.

B A S I A.

I ja toż samo...ale widać że ma swoje zalety...bo proszę, co mi za mąż, który w godzinę ledwie parę słów przemowi. Jaby mi chciała mieć męża wesołego, pięknego, któryby wciąż się ze mną pieścił, bawił, rozmawiał...

T E R E S I A.

Naprzykład Konceptowicz, to mi chłopiec! miło takiego mieć pana. Ten zaręczam, nie razby przyjemne słówko z cicha powiedział.

B A S I A.

A Pustacki, ten z pudełka elegant, co to całą toaletę w kieszeni nosi, który więcej myśli o swoim czubie, jak o głowie.

R Ó Z I A.

Cóż ztąd, ale dobry chłopiec, teraz bardziej go lubię, jak Chętkiewicza, bo i żonaty i gracz, Pustacki zaś zawsze coś takiego powie...

B A S I A.

Zawsze coś przyniesie w podarunku, powiedz

raczej. Niby ja niewidziałam...i dzisiaj...jednak niechby ontam sobie nosił i nosił, jabym go nigdy nie chciała; wiem czém jestem, na czém się kończą miłości wielkich panów.

R Ó Z I A.

Oj ty wszystkich musisz obmawiać...gdybym ja twójego paniczapoznała, potrafiłabym mu również przypiąć jaką łatkę.

KOSTKOWA. (*za sceną*)

Róziu! Róziu! (*Różia wybiega*)

PIOTRUŚ. (*wchodząc*)

Nie, nie dadzą się ani na chwilkę zdrzymać, mówu mię...(*poziwa*) ah! ah! przebudzono.

T E R E S I A.

A któż cię przebudził? przecież nie ma nikogo.

P I O T R U Ś.

Pani kazała...

T E R E S I A,

Cóż kazała, mów? przekłety śpiochu!

P I O T R U Ś.

Ale śpiochu...ah! ah!...całą noc pilnować jak grają...wytrzeszczać ślepie, czy co nie spadnie na ziemię... panny śpią, a ja muszę całej kawierni doglądać. (*pani Kostkowa za kulisami*)

Teresiu! Teresiu!

P I O T R U Ś.

A mówilem pannie, żebyś poszła. Pani jej
kazała wołać.

TERESIA. *(wybiegając)*

Ej ty! ty! malcze!

P I O T R U Ś.

Zawsze na mnie wołają wszystkie malcze!
malcze! co się to znaczy?..dalibóg ja nie wiem,
co im szkodzi, że ja mały...*(siada i drzemiąc
z wolna)* musi być coś w tem...a szczególnie
Teresia!?,..przecież kiedyś urosnę, to się do-
wiem...*(zasypia przy stole na którym stoi fi-
lizanka)*

B A S I A.

Ah ten przekłety dzieciuch, gotów się tutaj
zdrzynać...trzebaby go wytransportować.*(ście-
ra stolik i zrzuca pieniądz, który na nim
leżał)*

PIOTRUŚ. *(zrywając się, obala filiżankę na
ziemię i szuka pieniędzy)*

Coś podobno upadło.

B A S I A.

Filiżanka, którąś zrzucił.

P I O T R U Ś.

Filiżanki, do mnie nie należą, ale pieniądze
z ziemi...

B A S I A.

Przecież nie grają... Nie dobrego, filiżankę
słukleś.

P I O T R U Ś.

Ale jakimże sposobem?... ah panna Basia żar-
toje... czy miałem ją w ręku...

B A S I A.

No, idź zład, ty niezdaro mały... bo przed
panią powiem...

P I O T R U Ś.

Otóż znowu!... „mały niezdaro,“ niby panna
wysoka, idę już, idę. Ah, żebym już jak naj-
prędzej urosł, możeby mi lepiej było. (*od-
chodzi*)

SCENA XI.

BASIA, (sama, później) KOSTEK,

B A S I A,

Nie mogę wyjść ani na chwilę; on peeno
na mnie czeka... gdyby mu jako donieść, że je-
stem sama...

KOSTEK. (*przechodząc niby około drzwi, ka-
szle*)

Basiu! czyś sama?..

B A S I A.

Ah to on!.. sama.

KOSTEK. (*wchodzi ostrożnie*)

Czekam już od kwadransa na ciebie...:

B A S I A,

Ale gdzież pani?..

K O S T E K,

Poszła z Teresią do piwnicy.

SPIEW, NRO 5.

Moja lubciu, moja miła,

Gdybyś czuła, co ja czuję,

Inną byś ty dla mnie była.

B A S I A.

Co pan myśli, ja zgaduję.

I gdyby nie pani nasza...

K O S T E K.

Ej nie myśl o tem w tej dobie,

Niechaj cię to nie przestrasza,

Będę miłym jej i tobie.

B A S I A.

Dobrzeby wszystko było, ja w tym wzglę-
dzie nie obawiam się o pana, ale podobno pani
gniewała się, że tak późno wróciłeś... lękam
się, żeby nie dostrzegła naszych schadzek, i
lepiejby zaniechać onych.

K O S T E K.

Eh co tam, niech sobie gdera, ja się jej nie
boję; powiedziałem, że byłem u jednego z mo-

ich przyjaciół...ona nie domyśla się wcale, dla czegoż więc mam cię zaprzestać kochać?..Basiu, miałżebym się zawieść na twojem sercu. (*Różia wchodzi, a postrzegłszy Kostka i Basię, zatrzymuje się i podstuchiwa*) może już innego kochasz?...nie uwierzysz ile cierpię na tém, że ty w kawiarni...i że tłum młodzieży...

B A S I A.

Eh co tam, nie mówny o tém; o wszystkiem zapominam, kiedy pana widzę.

RÓZIA. (*n. s. w głębi*)

Czy tak? poczekajże ty obmowny języczku! (*wybiega*)

K O S T E K.

O moja Basiuniu, już ja dla ciebie inne miejsce obmyślę. (*chce ją pocałować*)

B A S I A.

Dajże pan pokój... może Różia nadejść, jest w drugi pokoju... zdaje mi się nawet że już idzie...

K O S T E K. (*ze strachem*)

Idzie?.. pójdę...

B A S I A.

Już!.. nie, nie to mi się zdawało... nie idzie...

K O S T E K.

Gdyby mnie zobaczyła!

B A S I A.

Eh nie obawiaj się pan... i cóż ztąd?.. wziął-
byś pan niby gazetę do ręki... wszakże tu przy-
chodzisz nie raz pod tym pozorem. (*Różia wpro-
wadza panią Kostkową i wybiega*)

K O S T E K.

Ale bo widzisz, moją żonę do znudzenia za-
zdrośna, chociaż nie ma najmniejszej przyczy-
ny uważać się na mnie; bo wypełniłem jak naj-
skrupulatniej wszystkie jej rozkazy.

B A S I A.

Jabym też ją umyślnie zwodził, żeby miała
powód do zazdrości.

K O S T E K.

Dobrze mówisz, niech ma powód do zazdro-
ści. (*chce ją pocałować*)

BASIA. (*ogłąda się, spostrzegłszy panią, z prze-
strachem, lecz cicho*)

Jejmość!

KOSTEK. (*przełęczniony. zbliża się do stołu
i porywa leżącą deskę od gazety*)

Ah mój Boże! zginąłem!..

SCENA XII.

KOSTEK, KOSTKOWA, BASIA.

K O S T K O W A.

Co się to ma znaczyć! ah panie mężu! tak to!..
(*do Basi*) Co tu robisz?

B A S I A.

Gazetę panu podawałam.

K O S T K O W A.

A WPan po co tu przyszedł?

K O S T E K.

Gazetę... czytałem...

P. K O S T K O W A.

Ha, gazetę czytałeś?.. na próżnej desce... gazetę na buzi tej przemierzonej dziewczyny... Czekał, nauczę ja ciebie... »umysłniebym ją zwozdzil, żeby miała powód do zazdrości.« Takie nauki mężowi dajesz!.. o skromniutka!.. niegodziwa! z układną miłką. Precz z mojego domu... nie waż mi się pokazywać na oczy... odbierzesz nagrodę za tę naukę!.. Chybabym jutra nie dożyła... Precz, precz!..

B A S I A.

Ale pani, cóżem ja winna?

K O S T E K. (*ze strachein*)

Tak... ona nie nie winna, najdroższa duszko moja... ja przyzedłem po gazetę... chciałem czytać o wojnie...

P. K O S T K O W A.

Milcz WPan... o wojnie... slichna wojna!

K O S T E K. (*n. s.*)

Ah mój Boże! na czém się to skończy?.. drzę cały...

P. K O S T K O W A.

„Ah! pani, cóżem ja winna!.. hultajko!.. mało masz bezżennych?.. jeszcze ci mojego gapia niedostawało!.. Precz! precz mi! strzeż się, a- bym ci jeszcze raz tego nie powtórzyła!..

(*Basia odchodzi.*)

P. K O S T K O W A.

A W Pan, nie wstydzisz się... ty! ty!

K O S T E K. (*n. s.*)

Oho teraz na mnie kolej... Boże! ratuj mię!

K O S T K O W A.

Cóżto nie jestemże młoda?.. domyślałam się teraz, owe późne wracania do domu... ten ko- lega... ci przyjaciele... aha! wszystko się teraz wydało...

K O S T E K. (*n. s.*)

Zginałem!.. ale nie dajmy sobie grać na no- sie. (*głośno*) Mościa pani... Mościa pani... otóż... (*n. s.*) żebyśmy się mógł odważyć jej powiedzieć...

K O S T K O W A.

No cóż, cóż, mościa pani?.. gadajże!

K O S T E K.

Możemy pójść... (*n. s.*) dalibóg nie wiem, czy powiedzieć, czy nie; będzie wrzeszczała, ale od- wążmy się!..

K O S T K O W A.

Co tam mruczysz pod nosem, mój ty wzorze wiernych mężów?

K O S T E K.

Tak... kiedy... oto... chcę mówić... że możemy pójść... do rozwodu...

KOSTKOWA. (z krzykiem)

Do rozwodu! Co ja slysze! I W Pan śmiesz mi w oczy takie rzeczy mówić. Rozumiem, chciałbyś być wolnym, ażebyś mógł do Basi... Oh, na samą tę myśl gniew za ysły mi odbiera! Nie, mości panie, nic z tego nie będzie, ja nigdy na to nie zezwolę... nigdy na rozwód nie przystanę. Do rozwodu! czy chcesz, ażeby cały świat dowiedział się o mojej hańbie, żeś jedną.. przeniósł nademnie. Nie, nic z tego nie będzie, musisz żyć ze mną, nie odstąpię cię teraz ani na krok... bo rozwodu!.. ah mości panie!..

K O S T E K.

No, to już nie... no, to już nie... tylko moja żonko... ja.. jak chcesz... tylkoż hańz cicho... goście w drugim pokoju... Co sobie pomyśla?..

K O S T K O W A.

Niech ich tam.. i całą kawiarnię djabli wezmą!.. nie będę trzymała... do rozwodu! któżby się był spodziewał, po tej układnej mince?..

KOSTEK. (n. s.)

Smietanka nie przestanie kipiść, póki garnka nie odstawią. Uciekajmy więc od ognia. (*ucieka*)

K O S T K O W A -

Nie uciekniesz...nie!..nie dam ci chwili spokojnej, do rozwodu! do rozwodu! (*wybiega za nim*)

SCENA XIII.

RÓZIA, (później) TERESIA.

R Ó Z I A.

Ha! ha! ha! otóż dokazałam swego. Basiuniu, nie tak łatwo mię wyprowadzić w pole.

TERESIA. (*wbiegając*)

Róziu, powiedz mi, co się znowu stało, że taki hałas w pokoju państwa. Zajrzałam przez otwór od klucza, jejmość biega po pokoju, krzyczy, tupa nogami, aż się okna trzęsą, a jegomość siedzi cicho w kącie jak trusia i słowa nie przebąknie.

R Ó Z I A.

Pani go tu zastała, jak się do Basi zalecał, i ztąd taki gniew... Basia oddalona...

T E R E S I A.

Pewno ty panią naumyślnie wywołałaś z piwnicy?

R Ó Z I A.

Eh, czyż ty nawet sądzić możesz o tém?.. była tu zinteressem jakaś pani, zdaje mi się nawet, że to żonka pana Chętkiewicza, lecz dowiedziawszy się, że jej mąż już wyszedł, kazała uwiadomić naszą panią, że później przyjdzie... — Mnie prawdziwie żal Basi...

TRÓJKIEWICZ. *(za sceną)*

Teresiu!

T E R E S I A.

Nie pójdę... drzyj się przekłety graczu, choćby do jutra; o gdybym mogła, zamiast ponczu, witrjolu dać mu się napić. *(idzie za stół i niby sprząta)*

TRÓJKIEWICZ. *(za sceną)*

Róziu!

R Ó Z I A

Wołaj sobie, choćby ci gardło pękło; wolę zobaczyć co się u państwa dzieje, niezmiernie lubię małżeńskie kłótnie. *(wybiega)*

SCENA XIV.

TERESIA, TRÓJKIEWICZ. *(wchodzi nieco podchmielony)*

T R O J K I E W I C Z.

A cóż, żadnej dowołać się nie można! krzyczę

jak najęty. Dajcie mi szklanę ponczu! (*d. s.*)
No i skromniutki nigdy niegrywający Poczei-
wski, zgrany do nogi. Co za miły widok, prze-
chodzących galopem dukatów, z jego kieszeni
do mojej. Wyznaję, że muszę być ulubieńcem
losu, bo proszę, dziś trzeciego zgrywam, cho-
ciaż dopiero dziewiąta. (*patrzac na zegarek*)
Oho! już po dziewiątej... przydał mi się, przy-
dał... 12 dukatów, po bratersku.

TERESIA. (*postawiwszy poncz na stole*)

Niechże pan pije, bo ostygnie.

TRÓJKIEWICZ.

Dobrze mówisz, moja Terenu, moja ty du-
szko. Ale powiedz mi, co tu był za hałas... takie-
go wrzasku nie robią nawet ani w tym wielkim
domu, gdzie niektórym dają bezpłatny stół i
pomieszkanie?.. cóż to było moja lubciu?..

TERESIA.

Eh daj mi pokój, mam robotę... nie wiem
o niczem, nie słyszałam. Niech pan pije....

TRÓJKIEWICZ.

Ale wiesz duszyczko, że zimny. (*siada*) Ja
ciągnę valeta, on króla trzyma, on valeta, ja kró-
la ciągnę... przedoskonale... (*pije*) Ah! jak lubię
patrzeć, kiedy się zapalają ci niedoświadczeni

fryce; dukat, dwa, trzy, cztery na kartę!.. a ja tymczasem z zimną krwią zabieram je sobie.— Niektórzy mówią.

SPIEW, Nro 6.

Ohydnein jest życie graczy,
Młodzież pogrązać w rozpacz,
A podstępem grabić złoto,
Wieczną się kryją sromotą.

Ja przeciwnie wcale sędzę,
Gracz potrzebą dla młodzieży;
Gdy zręcznie wydrze pieniądze,
Uczy, że grać nie należy.

Tak, tak, my naprowadzamy ich na dobrą drogę!

RÓZIA. (*wbiega*)

Ah! żebyś wiedziała, co się dzieje u państwa w pokoju. Zona Chętkiewicza przyszła do naszej pani, właśnie w tej chwili, kiedy w najlepsze się rozdała. Wyobraź więc sobie, jak to było śmiesznie, kiedy postrzegłszy ją nagle, przybrała twarz spokojną, i raz na gościa uprzejmie, drugi raz na pana zyzem spoglądała. Pan Kostek zaś, to kłaniał się, to błagalnym spojrzeniem prosił żony, żeby zamilczała, ha!

ha! ha! A ile razy przybliżył się do pani, tyle razy ona uszczypnąwszy go potężnie, powtarzała: »nie powiem, nie powiem, niegodziwy mężu,« mówiła jednak tak głośno, że aż w sieni było słychać, gdzie stała pod drzwiemi.

TRÓJKIEWICZ. (*zasypiając nad ponczem*)

Nikogo nie widać... już mi się nudzić zaczyna. Poszedłbym gdzieindziej, ale przysięga Chętkiewicza: »już nigdy kart do ręki nie wezmę!...« każe mi się domyślać, że tu powróci niebawem.

RÓZIA. (*do Teresi*)

Cóż ten przeklęty gracz, wiekować tu myśli? oj, żebym mu mogła jako dokuczyć!

TERESIA.

Ja mu zimny poncz dam i bez cukru... ale gdzie tam, on pije w najlepsze.

SCENA XV.

TRÓJKIEWICZ, CHĘTKIEWICZ, KONCEPTOWICZ.

KONCEPTOWICZ. (*do Chętkiewicza*)

Widzisz, on jeszcze tu, czeka jak do najęcia.

TRÓJKIEWICZ,

Ah! jest mój kochanek!

C H Ę T K I E W I C Z.

Już mnie więcej nie uludzi, i przysięgam ci raz jeszcze, że we wszystkim pójdę za radami twojemi. Chociaż nie mogę przed tobą zataić, że kto wie, może gdybym teraz z nim zasiadł, przyjazny los...

T R O J K I E W I C Z.

Przyjacielu, prawdę mówisz, ślepym, jak mówią, jest los.

K O N C E P T O W I C Z.

Dziś bardziej się o tej prawdzie przekonamy, że los ślepym być musi.

T R Ó J K I E W I C Z.

No, no, kochany Konceptowicz, ciebie się zawsze zarciki trzymają; Chętkiewicz, nie spróbujemy?..

C H Ę T K I E W I C Z.

Nigdy!

T R Ó J K I E W I C Z.

Nigdy! w ustach gracza! to się ma rozumieć, że nie masz pieniędzy. A zatem do jutra, bravo! *(słychać za sceną głos Pustackiego)*

SCENA XVI.

(K O N C E P T O W I C Z , T R O J K I E W I C Z , C H Ę T K I E W I C Z , L E F A U X , P U S T A C K I .

C H Ę T K I E W I C Z.

Nasz Pustacki!

K O N C E P T O W I C Z.

Pewno i Lefaux z nim, bo worek zawsze być musi przy pieniądzech.

C H E T K I E W I C Z.

A i on także...

P U S T A C K I.

Co, wy tu jeszcze, a ja już ukończyłem naj-
milsze *rendez vous*. Dziewczyna szaleje za
mną i nic dziwnego, bo wprowadź mię, gdzie
chcesz, a w zakład idę o 6 butelek szampana,
za trzecim razem, panna głowę dla mnie straci.

K O N C E P T O W I C Z.

A za czwartym razem, to cię spotka, co nie
dawno, kiedy ci okno za drzwi służyło.

P U S T A C K I.

Eh to była impertynencja, ojciec dziwak;
a potem przyznam się wam, że wtenczas mia-
łem porządnie w głowie, bo gdyby nie to...

K O N C E P T O W I C Z.

Proszę, miałeś coś w głowie, rzecz dziwna!

P U S T A C K I.

Naturalnie, bo inaczej:

S P I E W, N R O 7.

Jakżem szczęśliw przyjaciełn,

Wszyscy mi zazdroszczą losu.

K O N C E P T O W I C Z. (do innych)

Jeszcze tedy głupców wielu,

Wnosić można z tego głosu.

P U S T A C K I.

Wszędzie zyskuję pochwałę,
Bo świat niesie hołd gotówce.

KONCEPTOWICZ. (j. w.)

A niedawno nocy całe,
Pisał pozwy po złotówce.

P U S T A C K I.

Przy Burgundzie i Szampanie,
Wszystko we mnie jest sławionóm.

KONCEPTOWICZ. (j. w.)

Niepomny jak za śniadanie,
Nosił akta za patroaem.

P U S T A C K I.

Rozum, dowcip, wdzięki, cnota,
Bez tyśiączków rzecz jest próżna.

KONCEPTOWICZ. (j. w.)

Chociaż kieszeń pełna złota,
Jednak cielęciami być można.

LEFAUX. (do *Konceptowicza*) :

*Mais, ma foi, monsieur Konseptowis, za-
wsze ma takie psicinki.*

PUSTACKI. (do *Lefaux*)

Głupiec zawołany!

CHETKIEWICZ. (do *Konceptowicza*)

Coś tam o tobie gadają.

KONCEPTOWICZ. *(do Chętkiewicza)*

Nie ma się czego obawiać, z próżnych sto-
dół, tyjko wróbel wylecieć może.

CHEŃTKIEWICZ.

Ale Pustacki, surotek dla ciebie, twój nau-
czyciel tańca, jedzie podobno do Paryża.

P U S T A C K I,

O tak, ja go proteguję, mówilem mu, żeby
jechał przez Gdańsk, tam są moi rodzice, bę-
dzie mógł u nich przynajmniej z tydzień dar-
mo zabawić.

KONCEPTOWICZ.

Do Paryża, przez Gdańsk! aż miło mieć pie-
niądze, zaraz i rozum w głowę wchodzi.

P U S T A C K I,

Widzisz, masz dowód, co tylko powiem,
technie dowcipem. W Paryżu nawet mam zna-
jomości z korespondentami.

L E F A U X.

Niech jedzie do Paris... A ma patrie, jest wzór
szkoła do tańca.

KONCEPTOWICZ.

Jeżeli tylko szkoła nóg nie głowy, to nie
ma się po co trudzić tak daleko.

P U S T A C K I-

Pan Lefaux jest dowodem, że tam i głowy
czegoś nauczyć się mogą.

L E F A U X.

Je vous suis obligé, za tę pochwałę.

KONCEPTOWICZ,

O tak właśnie, pan Lefaux jest dowodem, jak Paryż ludzi przemienia! (*n. s.*) Kamerdynerów zmienia w guwernerów.

PUSTACKI. (*dostłyszawszy*)

Tak, tak, guwerner i lepszy od wielu innych, którzy za mędrców uchodzą. Ja sam byłem świadkiem, że w przeciągu dwóch dni, nauczył dzieci, jak się mówi po francuzku, czyścić bóty, trzepać suknię, sprzątać pokój i t. p.

KONCEPTOWICZ.

Nie ujmuję, że w tym rodzaju konwersacji, pan Lefaux jest może doskonałym od wielu innych...

TRÓJKIEWICZ.

Moi panowie, słucham was, słucham, i śmieję się z waszych rozpraw. Mówicie o rzeczach tak błahych, któż teraz w tym mądrym wieku, o głowie mówić będzie; teraz ludziorodzą się mądrymi. Teraz każdy sądzi, każdy krytykuje, każdy pochwała lub gani. A więc najlepszy dowód, że nie potrzeba znajomości, żeby sądzić. Iluż to krytyków terażniejszych, w kawiarniach

kursu nauk słuchało. Widzicie tedy sami, że nauka jest niepotrzebną. Świat teraz innem powinien zająć się rzemiosłem. Karty, karty! one powinny być księgą mądrości, gdybym miał syna, zarazbym musam lekcje dawał, a to w ten sposób:

SPIEW, NRO 8.

Niech zna dobrze rachowanie,
To pierwsza dążność do mety,
Późniejbymłożył staranie,
By mu wskazać gry zalety.
Miasto lekcji dać moralnej,
Uczyłbym go Faraona,
Historji państw naturalnej,
Wołoszyna lub Bostona,
W miejsce jeografii dawniej,
Co tłumem nazwisk przestrasza,
Uczyłbym korzyści jawnej,
W Helbika, nawet marjasza.
Zamiast przemian Owidjusza,
Cycerona, Wirgilego,
Zamiast Tacyta, Liwjusza,
Uczyłbym sztosą zręcznego,
W miejsce nudnej gramatyki,
Której znajomość zaleta,

Znałby co kwindecze, Cwiki,
Co Buliot, Treize i Ruleta.

Wiedziałby, co są kulbaczki,
Co lisy, wołty, sypanki,

Jak na kartach robić znaczki,
Jak zręcznie przedawać banki,
Poznałby się z gilotyńą,

Zwierzchówką, bałamutami,
Jak z żółędzi robić wino,

Wygrać sypnemi oczkami.
Jak karteczki ustrzeliwać,

Jak pamiętać na parole,
Jak się lapkarzów pozbywać,

Oto do talentów pole!

To mi namysłów jest warte,

Jak kusz lis wędrowny zmyka,
Jak za ucho ciągnąć kartę,

To godne, matematyka,
Takiem mu dał nauki,

Boten dziś w szczególności opływa,
Kto dozędł tej wielkiej sztuki,

Jak pewno, karta wygrywa!

SCENA XVII.

CIŻ, ANIELA, KOSTKOWA. (*weszły i zatrzymały się wgłębni*)

P U S T A C K I.

Nie źle, nie źleby się wyuczył. *Vous avez comprenez Mr. Lefaux?*

CHEŃKIEWICZ.

Nie dziwię się teraz twojemu losowi, zręczność potrafiła go sprowadzić. Odiąd niewzruszonem będzie to postanowienie, brzydzić się i grą i graczami.

KONCEPTOWICZ.

Chwałę twój zamysł, ale dziwię się szczerości pana Trójkiewicza. Jakto wydawać swoje tajemnice? czy dobro nasze do tego pobudziło go czynu, czy też potężna władza ponczu, mimowolnie uczyniła go wymownym. Cokolwiek bądź, przyjmij nasze podziękowanie.

TRÓJKIEWICZ.

Nie tracę dla tego nadziei, albowiem Chętkiewicz, i ja dawniej przegrywałem, a teraz... z czasem wszystko przychodzi.

CHEŃKIEWICZ.

Nie, nie, rozumiem do czego zmierza twoja mowa, ale próżne usiłowania. Przez ciebie opuściłem żonę, którą kocham, moję powinność; i teraz, może zbyt późno żałuję moich postępków.

P U S T A C K I.

Eh dla czegoż późno, żony nie są nielitościwe, jeszcze we cztery tygodnie po ślubie...

K O N C E P T O W I C Z.

Idźmy! (*postrzegłszy żonę Chętkiewicza wgłębni*) Przyjacielu! twoja żona.

Tom XV.

23.

CHĘTKIEWICZ.

Najdroższa żono! przebacz... Zbyt drogo okupiłem chwilę zapomnienia się. Przysięgam, że pamięć tego dnia wieczną będzie dla mnie przestrogą.

A N I E L A

O mój mężu!..

CHĘTKIEWICZ.

Jakżem szczęśliwy!

TRÓJKIEWICZ.

Tak się cieszy, jak ten, co mu pierwsza wolta tysiączek przyniosła.

L É F A U X.

C'est bon, prawdziwie ten czyn *me persuade*, że masz dobrą żonę, i że na twoje miejsce, wolałby *son amour* jak wigrana *de tous les joueurs* wszystkich graczy.

KONCEPTOWICZ.

Kochany przyjacielu, pani dobrodżiko, raczcie przyjąć najszeźersze powinszowanie, przywróconej zgody. Oby od tej chwili szczęście zawsze wam towarzyszyło!

CHĘTKIEWICZ.

Oh przyjacielu!.. wiele ci winienem, i nie wiem czy zdolam ci to wynagrodzić.

SCENA XVIII I OSTATNIA.

CIŻ, KOSTEK I DOZORCA.

KOSTEK. (*wchodzi z papierem w ręku*)

Właśnie w tej chwili oddał mi dozorca ten nakaz, zabraniający wszelkich gier w miejscach publicznych...

K O S T K O W A.

Chwała Bogu, pozbędę się przecie tego przekłętego gracza.

TRÓJKIEWICZ.

Co, zakaz?..ale czy w istocie urzędowy?..

KOSTEK. *(pokazując mu)*

Tak urzędowy. Mości panie Trójkiewicz.

DOZORCA. *(zbliżając się)*

Co, Trójkiewicz?..ah przedziwnie, właśnie i do niego mam interes; byłem już dziś sześć razy w jego mieszkaniu, nie mogłem go zastać, mówiono mi, że pan nie sypiasz w domu.

TRÓJKIEWICZ.

Cóż komu do tego?

D O Z O R C A.

Dowiesz się pan o tem...proszę. *(oddaje mu kartkę awizacyjną)*

TRÓJKIEWICZ. *(czyta)*

»Urząd Muni.....wzywa JP. Trójkiewicza...
»ażeby w sprawie własnej...natychmiast...« *(mówi)* Jakto natychmiast?

D O Z O R C A.

Tak, służę mu!

TRÓJKIEWICZ.

Ciekawym, co może być za interes? Żegnaj panów moich...do zobaczenia!..*(wychodzi, dozorca za nim)*

L E F A U X.

Bon voyage!

KONCEPTOWICZ.

Dobrej zabawy! podobno nie tak prędko się zobaczymy.

KOSTEK. *(widząc, że go żona nie uważa, zbliżył się do Teresi i mówi)*

Nie wiesz też gdzie Basia?

KOSTKOWA. *(odwracając się nagle)*

I cóż tam Basia?

KOSTEK. (*ze strachem, n. s.*)

A to diabelskie uszy! (*głośno*) Eh! ja pytałem się...bo...bo nie wiem jak ją wymeldować.

K O S T K O W A.

To do ciebie nie należy...Czy zapomniałeś?

K O S T E K.

Pamiętam, pamiętam i dotrzymam słowa.

SPIEW, NRO 9.

L E F A U X.

Heureux moment w tej dobie nastaje,

Pour les epoux, kończą się męczarnie;

Un bon exemple, dzisiaj ten mąż daje,

To fera pamiętnym *pour toujours* kawiarnię

P U S T A C K I.

Kto podłą sztuką, swoich bliźnich zdziera,

I swój majątek na cudzym zalicza;

Czy to prawnika, czyli też szulera,

Niechaj go spotka, kara Trójkiewicza.

ANIELA, CHETKIEWICZ, KONCEPTOWICZ.

Swoboda dla nas zabłysła w tej chwili,

Oby tak każdy chęcią gry wiedziony,

Nad kart pomyślał, co zbyt często myli,

Przeniósł niezmienną, w miłości swęj żony.

KOSTEK. (*do Publiczności*)

O wy łaskawi sceny przyjaciele,

Raczie kawiarni dać oklas życzliwy,

A z tego będzie i Autor szczęśliwy,

I wszyscy goście i jęj właściciele.

Koniec.

KONIEC TÓMU PIETNASTEGO I OSTATNIEGO.

SPIS SZTUK

w XVtu Tomach Prac Dramatycznych.

TOM I.

Trilby, komedjo-opera w 1 akcie.

Pojedynek, drama w 3 aktach. (z ryciną)
JPani Halpert.

Pocztyljon z Lonjumeau, opera w 3 aktach.

Jedna cawila, komedja w 1 akcie.

TOM II.

Mina, córka Burmistrza, komedjo-opera
w 2 aktach. (z ryciną) JPan Żółkowski.

Teobald, komedjo-opera w 1 akcie.

Urząd i Zona, komedja w 3 aktach.

TOM III.

Babunia, komedjo-opera w 1 akcie.

Krzyżyk złoty, kom. w 2 aktach (z ryciną)
JPan Szymanowski.

Łucja, komedja w 2 aktach.

Skutki oddalenia, komedjo-opera w 1 akcie.

TOM IV.

Leonida, Stara z Surenny, komedja w 3 akt.

Kobieta głową domu, komedja w 1 akcie.

Syn narzeczona, komedja w 1 akcie. (z ryciną)

JPan *Giżewski*.

Godzina małżeństwa, komedja w 1 akcie.

TOM V.

Landara, komedjo-opera w 1 akcie.

Paraviedes, melodrama w 3 aktach. (z ryciną)

JPan *Werowski*.

Emma, *Dwie siostry*, komedja w 2 aktach.

Mąż wdowy, komedja w 1 akcie.

TOM VI.

Stara, komedja w 1 akcie.

Balik w miasteczku, krotoczwila w 1 akcie.

Prima donna, komedjo-opera w 1 akcie. (z ryciną) JPanna *Daszkiewicz*.

Tydzień rozsądku, komedja w 1 akcie.

Matka chrzestna, komedja w 1 akcie.

TOM VII.

Kuzynek, komedja w 1 akcie.

Lektorka, komedja w 2 aktach.

Wybór, komedja w 1 akcie. (z ryciną) JPanna *Dobrzańska*.

Mąż po śmierci, komedja w 1 akcie.

TOM VIII.

Nowy rok, krotoczwila w 1 akcie (z ryciną)

JPanna *Werowska*.

List polecający, komedja w 4 aktach.

(III)

Kotka przemieniona w kobietę, krotok. w 1 ak.

TOM IX.

Wiecznie, kamedja w 2 aktach.

Nowy Sąd Parysa, krotokhwila w 1 akcie.

(z ryciną) JP. *Panczykowski*.

Podejście, kamedja w 1 akcie.

Konstancja, kamedja w 1 akcie.

TOM X.

Murzynka, drama w 4 aktach. (z ryciną)

JP. *Kudlicz*.

Karolina, drama w 4 aktach.

TOM XI.

Wuj i Siostrzeniec, kamedja w 1 akcie (z ryciną) JP. *Majewski*.

Wet za wet, kamedja w 1 akcie.

Schadzka, kamedjo-opera w 1 akcie.

Każdy ze swéj strony, kamedjo-opera w 1 ak.

Adolf i Julja, kamedjo-opera w 1 akcie.

TOM XII.

Wychowanka w Tonningthon, melod. w 3 ak.

Złe wychowanie, kamedja w 2 aktach. (z ryciną) JP. *Karasiński*.

TOM XIII.

Bandyta, drama w 2 aktach.

Podstarzała panna, kamedjo opera w 1 akcie. (z ryciną) JPi. *Kostecka*.

Jedna za drugą, komedja w 3 aktach.

TOM XIV.

Prawo Angielskie, drama w 2 aktach.

Pamiętniki Pułkownika, kom.-opera w 1 ak.

Żonaci bezzenni, komedja w 2 aktach (z ryciną) JP. *Swiergocki*.

Terenia, komedjo-opera w 1 akcie.

TOM XV.

Paulina, komedja 2 aktach. (z ryciną) JP.
Piasecki.

Mąż mimo wiedzy, komedjo-opera w 1 akcie.

Lokaj w zalotach, komedjo-opera w 1 akcie.

Kawiarnia, komedjo-opera w 1 akcie.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr. 72

00-700 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

F
1204
15.